

any
where
free

magazine

ANNA
PRÓCHNIAK

FREE COPY

pobierz darmowy
magazyn anywhere.pl



Czytaj #AnywhereYouAre

HEXE.COM.PL | AW 26/27

HEXELINE

ARCHE HOTEL

LOTNISKO GDAŃSK



Lotnisko Gdańsk
Rębiechowo



Stacja kolejki
PKM



Centrum Handlowe
Forum Gdańsk



Dworzec PKP
Gdańsk Główny



Gdańsk
Stare Miasto

Twój przystanek w podróży...

- Bliskość lotniska (300 m): jeden z kluczowych atutów - wygoda i oszczędność czasu.
- Komfortowy sen: Hotel zaprojektowany z myślą o wypoczynku Gości. Wysokiej jakości pościel, materace, odpowiednio wyciszone i zaciemnione pokoje, a także specjalne Pillow menu zapewnią regenerujący sen.
- Relaks: klimatyczne wnętrza, sauna, strefa fitness, a także specjalna oferta masażu w pokoju pozwolą oderwać się od codzienności i poczuć pełen spokój przed czy po podróży.
- Wybitna kuchnia: starannie wyselekcjonowane lokalne składniki, autorskie menu i wyjątkowa dbałość o smak.
- Nowoczesne zaplecze konferencyjne: cztery sale konferencyjne o powierzchni 350 m² jako idealne miejsce na konferencje, szkolenia, bankiety i spotkania biznesowe, dostęp do szybkiego Wi-Fi, nowoczesnych systemów AV, możliwość dowolnej aranżacji sal konferencyjnych. Każda konferencja jest zarządzana przez wykwalifikowanego event managera, dbającego o najmniejsze detale.
- Otoczenie hotelu: zielone otoczenie hotelu z rozbudowaną siatką tras rowerowych.



40



74



88



91



95



8 STREFA VIP Julia Chatys - Chcę Robić Wszystko Najlepiej
VIP ZONE Julia Chatys - I Want to Everything Best

40 STREFA VIP II Anna Próchniak - AKTORSTWO TO SZTUKA SPOTKANIA
VIP ZONE II Anna Próchniak - ACTING IS AN ART OF MEETING

74 VIP ZONE III PAULA KARPOWICZ TRZEBA SŁUCHAĆ SIEBIE I SWOJEGO SERCA

88 BIZNES CZY BIURO MOŻE STAĆ SIĘ WIZYTÓWKĄ FIRMY? JAK PRZESTRZEŃ WPŁYWA NA PIERWSZE WRAŻENIE KLIENTÓW I PARTNERÓW

91 MOTO BYĆ JAK SZABŁOŻEBNY Z POWER RANGERS | FORD RANGER TEST

95 FOR HER BIRKIN TO NIE TYLKO TOREBKA I KOSZYK. RECENZJA KSIĄŻKI IT GIRL



ZDJĘCIE NA OKŁADCE
Michał Orliński

WYDAWCA

Anywhere.pl Platforma Medialna Sp. z o. o.
z siedzibą w Sopocie 81-717 ul. Haffnera 6 lok 224K,
zarejestrowana w Sądzie Rejonowym Gdańsk Północ
w Gdańsku. VIII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru
Sądowego nr 0000856796,
NIP 5851492193. REGON 387084333.

e-mail: biuro@anywhere.pl
kom: 882 072 755.

Wydawca: Marcin Ranuszkiewicz
Redaktor naczelny: Jakub Wejksznier
Redaktorka prowadząca ForHer: Julia Trojanowska
Sprzedaż i Marketing: Angelika Balbuzza
Grafik: Jakub Wejksznier
Dział IT: Aleksander Domański
Współpraca fotograficzna: Michał Buddabar,
Bartosz Maciejewski, Piotr Sobik, Karolina Nowaczyk,
Paulina Pawłowska, Łukasz Dziewicz

Na licencji: asz-reklama / biuro@asz-reklama.eu
Redakcja nie zwraca niezamówionych tekstów
i materiałów redakcyjnych oraz nie ponosi
odpowiedzialności za treść nadesłanych ogłoszeń
reklamowych. Redakcja zastrzega sobie prawo do
redagowania i skracania tekstów.

ANYWHERE. PL | PLATFORMA
MEDIALNA

www.anywhere.pl
www.facebook.com/anywherepl
www.twitter.com/anywherepl
[instagram.com/anywherepl](https://www.instagram.com/anywherepl)
www.linkedin.com/company/anywhere-pl

PARTNER

PROT
Brama Wyzynna
Wąty Jagiellońskie 2a
80-887 Gdańsk
www.prot.gda.pl



PATRONAT



Gdańsk Gdynia Sopot



A gift from you.
To you.

SAVICKI



Warszawa - Modlin Gdańsk NFC Poznań Szczecin Łódź Olsztyn

Nasze magazyny lotniskowe

SPRAWDŹ
na anywhere.pl



Julia Trojanowska: Julio, jesteś aktorką teatralną, serialową, filmową i dubbingową, ale przewrotnie chciałabym zacząć od Twojej innej roli. Na See Bloggers prowadziłaś dwa panele dyskusyjne. To na pewno było wyzwanie.

Julia Chatys: Tak. Największym wyzwaniem było dla mnie odnalezienie się w roli osoby prowadzącej, szczególnie gdy bazą rozmowy był jedynie ogólny scenariusz. Zastanawiałam się, czy uda mi się zachować naturalność, płynność i swobodnie reagować na to, co pojawi się w trakcie rozmowy. Miałam też dwadzieścia kilka pytań pomocniczych, które miały pomóc mi prowadzić cały panel, nie przerywać gościom, a jednocześnie cały czas podążać w jednym kierunku. Myślałam, że zwiariuję ze stresu. Nie zwariowałam. Na szczęście było to rozłożone na dwa dni – sobotę i niedzielę. Ale tak, to było przeżycie, które chętnie powtórzę.

A czego dotyczyły panele?

Bardzo ciekawych i aktualnych tematów: bycia autentycznym w świecie social mediów oraz radzenia sobie z krytyką i hejtem. To były bardzo ważne rozmowy. Mogłam poznać różne perspektywy, ale też prawdziwe historie, bo nasi goście opowiadali o swoim życiu. Niektóre z tych historii były naprawdę przerażające. Z publiczności również padały pytania – czasem bardzo kuriozalne i wręcz abstrakcyjne. Jedna pani opowiadała, że ktoś zgłosił jej konto, ponieważ pokazywała swoje dzieci. W sprawę byli zaangażowani nawet kurator i policja. Naprawdę dziwne rzeczy dzieją się w przestrzeni internetowej. Cieszę się jednak, że mogłam poruszać ten temat, bo sama na szczęście nie doświadczyłam aż takiego hejtu. Mam nadzieję, że nie doświadczę, a jeśli już, to będę potrafiła sobie z nim poradzić.

To ważny głos, żeby się temu przeciwstawić. Dobrze, że ten temat został poruszony. W ogóle tego roczny See Bloggers był poświęcony samoakceptacji i pokazywaniu coraz bardziej prawdziwego oblicza. Zastanawialiśmy się, czy to jest dobre, czy złe, ale rozmawialiśmy też o tej nieprzyjemnej stronie świata mediów – o krytyce, hejcie i po prostu mowie nienawiści. Cieszę się, że mogłam poruszać tak ważne tematy, prowadzić te rozmowy i poznać ludzi, którzy opowiadali naprawdę skrajne historie. To jest trudne, kiedy ktoś źle życzy bliskim danej osoby albo w obrzydliwy sposób się o niej wypowiada tylko dlatego, że czuje się bezkarny za ekranem. To jest okropne i druzgocące. Jednocześnie taki był przekaz całego wydarzenia – żebyśmy o tym mówili, nie bali się, przeciwstawiali się temu i nie zgadzali się na takie zachowania. Poruszaliśmy też temat tego, jak sobie z hejtem radzić. Czy wchodzić w interakcję, czy ignorować, czy udać się do specjalisty – bo wszystko zależy od skali problemu.

To było dla mnie bardzo ważne doświadczenie. Zarówno od strony prowadzącej – tego, jak wygląda to technicznie – jak i od strony czysto ludzkiej. Towarzyszyło mi mnóstwo emocji. I to jeszcze w takiej

pigułce, bo mieliśmy dosłownie 45 minut. W każdym panelu brało udział około pięciu-siedmiu osób, a każdemu trzeba było poświęcić mniej więcej tyle samo uwagi. To również było bardzo trudne do zrealizowania. Trzeba było żonglować czasem i odpowiednio prowadzić rozmowę oraz pytania, żeby całość przebiegała płynnie.

Powiedziałaś, że jeden z paneli dotyczył autentyczności w social mediach. Jesteś aktorką, ale prowadzisz też swoje media społecznościowe. Mam wrażenie, że to już taki nieodłączny element funkcjonowania w świecie mediów.

Teraz już tak. W świecie filmu, teatru czy telewizji naprawdę trudno już znaleźć osobę, która w ogóle nie łączy internetu ze swoim zawodem. To już taki nieodłączny element naszej pracy.

Wydaje mi się, że zdarzają się nawet osoby odpowiedzialne za castingi, które wymagają posiadania social mediów.

Tak, to się często zdarza. Producenci zazwyczaj proszą o podanie konkretnych statystyk.

Chciałam zapytać właśnie o twoją perspektywę. Prowadzisz swoje social media, prowadziłaś też panel dotyczący autentyczności. Mam wrażenie, że emanujesz bardzo pozytywną energią i jesteś osobą autentyczną, która nie boi się mówić tego, co myśli. Jak to wygląda na twoim profilu?

Lubię pokazywać dużo swojej pracy, ale nie tylko wtedy, kiedy jestem wymuskana i „idealna”. Pokazuję się taką, jaka po prostu jestem. Kiedy wchodzę do studia, jestem w bluzie, w okularach, zakładam słuchawki. Albo kiedy jestem na rolkach, na spacerze czy z mamą. Raczej płynnie przeplatam świat zawodowy z prywatnym, codziennym. I to mi pasuje, bo to po prostu jestem ja. Właściwie na moim profilu można zobaczyć mnie w różnych wersjach – czy się to komuś podoba, czy nie, ale taka właśnie jestem.

Tak jak mówisz, pokazuję się jako osoba otwartą i bezpośrednią. Nawet nie wiem, jak miałyby to wyglądać inaczej. Oczywiście są tematy, których nie poruszam, bo po prostu nie potrzebuję dokładać sobie dodatkowego ognia. Natomiast cenne jest dla mnie pokazanie, że jestem naturalna. Nie chcę używać słowa „normalna”, bo każdy jest normalny na swój sposób. Po prostu jestem sobą, w swoim naturalnym środowisku. Nie wyobrażam sobie, żeby wszystko było perfekcyjne. Nie wyobrażam sobie, że zawsze musiałabym wyglądać tak jak dzisiaj – elegancko ubrana, umalowana, z ułożonymi włosami. Kiedy idę do pracy, na próbę czy do studia albo wychodzę ze znajomymi na spacer, przecież tak nie wyglądam. Nikt na co dzień tak nie funkcjonuje, więc dlaczego ja miałabym?

Myślę, że warto pokazywać taki naturalny wygląd i sposób bycia, a także nimi zarażać. Wydaje mi się, że już sam wygląd bardzo wpływa na to, jak jesteśmy odbierani przez innych. Mamy media po to,





żeby ludzie mogli z nich czerpać i wybierać to, co im odpowiada, a co nie. Dlaczego więc nie pokazywać siebie w takiej wersji, którą ja akceptuję i z którą dobrze się czuję? Gdybym robiła to inaczej, byłoby mi po prostu niekomfortowo. Czułabym, że coś mnie uwiera. A nie lubię, kiedy coś mnie uwiera.

Mam wrażenie, że odbiorcy coraz częściej wyczuwają taki fałsz w social mediach.

Ja też zauważyłam, że coraz bardziej stawiamy na naturalność, bo widzowie tego od nas oczekują. Tak jak powiedziałaś – zauważają fałsz i bardzo im się to nie podoba. Potrafią wychwycić nawet drobne niuanse sztuczności czy nieautentyczności. Oczywiście wszystko zależy od perspektywy. Dla kogoś coś będzie fałszem, a dla mnie będzie prawdą. To jest też trochę tak, że ludziom wydaje się, że już nas dobrze znają. A człowiek przecież się zmienia. Zmienia się nasze podejście do życia, do siebie i do innych.

Powiedziałaś, że na szczęście nie doświadczyłaś hejtu w internecie. Zastanawiam się jednak, czy był taki moment, odkąd zaczęłaś aktywnie działać w social mediach, w którym poczułaś, że jakaś twoja granica została przekroczona. Może nie był to hejt, ale coś sprawiło, że poczułaś dyskomfort. Czy do tej pory social media są dla ciebie takim bezpiecznym miejscem?

Dziwne jest to, że ludzie zwracają uwagę na... stopy (śmiech). To brzmi głupio, ale naprawdę tak jest. To jest dla mnie bardzo śmieszne i nigdy nie wiem, co na takie komentarze odpowiedzieć. Bardzo bawią mnie też komentarze, kiedy ludzie myślą, że jestem swoją postacią z serialu. Że to jest moje prawdziwe życie, że serialowy mąż jest moim prawdziwym mężem.

A czy jest coś, co przeszkadza mi w tym, co publikuję? Nie, nie mam czegoś takiego. W ogóle lubię mieszać treści. Tak jak zrobiłam podsumowanie See Bloggers – był tam miks tego, co się działo, z kim się spotkałam i co robiłam, a do tego dorzuciłam zdjęcie z domu z książką, którą dostałam właśnie na See Bloggers – „Odważa bycia nie lubianym”. Polecam, bardzo dobra pozycja. I to jest właśnie dla mnie takie moje. Taki miszmasz. Nie czuję, żeby mój feed musiał wyglądać bardzo czysto i idealnie. Były takie próby – nazwijmy to – bardzo „beauty”. Do pewnego momentu to się sprawdzało, ale później poczułam, że trzeba to trochę przełamać, pomieszać. I to mi zdecydowanie bardziej odpowiada. Ale żeby nie było – bardzo lubię też takie beauty wersje. Tylko one pojawiają się wtedy, kiedy są potrzebne. Wiele rzeczy robię po prostu dlatego, że pasują do konkretnej sytuacji.

Zaczęłyśmy od twojej nowej roli, czyli prowadzenia paneli na See Bloggers, i od twojej działalności w social mediach. Ale przede wszystkim jesteś aktorką i to aktorką z ogromnym doświadczeniem. Powiedziałyśmy już, że media społecznościowe mocno zrosły się z branżą filmową i kreatywną. Czy z twojej perspektywy ta branża bardzo zmieniła się przez lata, odkąd w niej działasz? Czy mecha-

nizmy pozostały takie same?

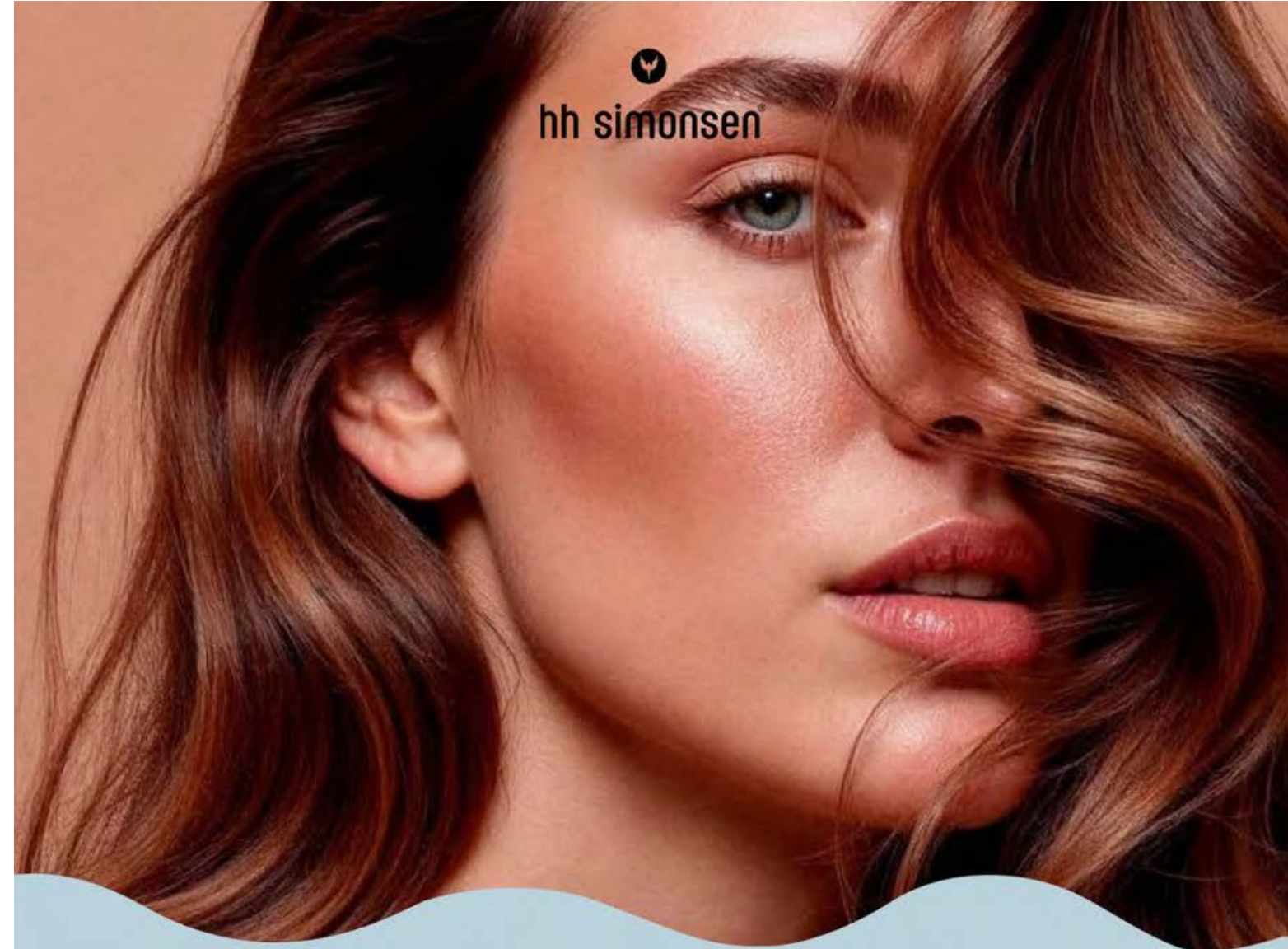
Przede wszystkim zmieniło się to, że zanim zostałam zaproszona na casting, muszę nagrać self-tape. Self-tape'y bardzo mocno weszły do naszego świata i na stałe się w nim zakorzeniły. Dzisiaj to właściwie pierwszy etap ubiegania się o rolę. Praktycznie nie ma już możliwości, żeby ktoś zaprosił cię na casting bez wcześniejszego nagrania. Dopiero kiedy przejdiesz ten pierwszy etap kwalifikacji, możesz liczyć na kolejne spotkanie. To jest trudna forma, bo nagrywasz scenę i właściwie sama decydujesz: „Dobra, to było okej”. Osoba, która ci partneruje, może powiedzieć: „Jula, to było spoko”, ale tak naprawdę nie wiesz, czy właśnie tego szukają osoby odpowiedzialne za casting. Gdybyśmy spotykali się na żywo, ktoś mógłby zareagować, poprowadzić cię i coś podpowiedzieć. Przy self-tape'ach tego nie ma, więc to zawsze jest trochę pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. To chyba największa zmiana.

Druga kwestia to właśnie media społecznościowe. Przy niektórych rolach liczy się też siła twojego Instagrama, liczba wyświetleń czy statystyki. To nie jest żadna tajemnica. Wydaje mi się nawet, że to naturalny mechanizm, bo produkcjom zależy na dotarciu do jak najszerzego grona odbiorców. Rozumiem to – dzięki temu zdobywają nowych widzów. A z takich technicznych zmian na planie, których jeszcze sama nie doświadczyłam, ale mam nadzieję, że kiedyś doświadczę, pojawiła się funkcja koordynatora intymności.

A jeżeli chodzi o tempo pracy? Mam wrażenie, że wszyscy o tym mówią – i zresztą sami tego doświadczaamy – że tempo życia się zmienia. Pracujemy więcej, intensywniej i szybciej. Czy w branży filmowej odczuwasz to samo? Czy tempo pracy również się zmieniło i czy ma to wpływ na jakość?

Na pewno tak. Zrozumiałam to dopiero po latach pracy na planie i przy serialach. Dobrze byłoby, gdyby każdy dubel był od razu dobry, bo niestety nie ma już czasu na wielokrotne powtórki. Trzeba zrobić jak najlepiej i jak najwięcej, bo goni nas czas – termin emisji, harmonogram produkcji, a także zobowiązania zawodowe innych ludzi. Myślę, że kiedyś samo pójście na plan, na próbę czy do studia nagraniowego było czymś wyjątkowym. A teraz, mówię to z własnego doświadczenia, zdarza się, że jednego dnia mam trzy studia nagraniowe i jeszcze kilka spraw do załatwienia. Następnego dnia mam próbę i dwa kolejne nagrania, a kolejnego – plan zdjęciowy. I nagle myślę sobie: „Kurczę, jeszcze bym coś zrobiła”. To jest niewiarygodne, bo kiedyś taki grafik rozkładał się na cały tydzień. Teraz, przy takiej liczbie projektów, doba jakby się skurczyła i tego wszystkiego jest naprawdę dużo.

Mam też w sobie coś takiego, że bardzo chcę robić wszystko jak najlepiej. Czasami jednak nie ma możliwości powtórzenia sceny i muszę zaufać, że wyszło dobrze. Uczę się też akceptować własne błędy. Cały czas nad tym pracuję. Jeśli na piętnaście scen dwanaście wyszło naprawdę dobrze, a trzy po prostu dobrze, to i tak powinno być w porządku. A ja i tak mam w głowie: „Mogłam zrobić to lepiej”. To ciągle we mnie jest. Ale przy takiej liczbie obowiąz-



Twoje włosy. Wyzwolone.

NARZĘDZIA STYLIZACYJNE NOWEJ GENERACJI



VS8 Rod Curling Iron

ków człowiek w pewnym momencie się eksploatuje. Ma określoną wydolność i tych błędów siłą rzeczy pojawia się więcej. I znowu wracamy do tego samego – do przyzwolenia sobie na błąd. Ja cały czas się tego uczę.

Jesteś wobec siebie bardzo krytyczna?

Bardzo. I chyba to się szybko nie zmieni.

Jak sobie z tym radzisz?

W ogóle sobie z tym nie radzę. Zaczęłam czytać *Odwagę bycia nielubianym*. Może ta książka mi pomoże. Ona jest też o akceptacji. A tak serio – lubię sobie wszystko później przeanalizować, jeśli coś mi nie wyjdzie. Bardzo dużo rzeczy analizuję. Naszą rozmowę też zaczął analizować – zastanawiać się, czy dobrze odpowiedziałam, czy powiedziałam wszystko, a może mogłam ująć coś inaczej. Mam wrażenie, że z każdym dniem jest coraz gorzej (śmiech). Powinno być odwrotnie – powinnam trochę bardziej odpuszczać.

Z drugiej strony to ma też swoje dobre strony, bo cały czas dążę do rozwoju i do tego, żeby wskakiwać na kolejny poziom. To jest rozwijające, ale jednocześnie trzeba uważać na tego wewnętrznego krytyka. Oczywiście pokora jest w tym najważniejsza, ale nie można dać się zwariować. Trzeba też mierzyć siły na zamiary. Ja wszystko przeżywam. Zawsze analizuję wszystko kilka razy i zawsze uważam, że mogłam zrobić coś lepiej. Mało tego – jeśli ktoś powie: „Było super, ale tutaj można było jeszcze coś poprawić”, to ja od razu myślę: „Czyli mogłam zrobić to inaczej”. Zupełnie pomijam to, że wcześniej usłyszałam: „Było super”.

A był jakiś projekt, przy którym twój wewnętrzny krytyk się nie odezwał? Taki, po którym od początku do końca miałaś poczucie, że zrobiłaś wszystko najlepiej, jak potrafiłaś?

Chyba przy niektórych produkcjach dubbingowych. Nie wiem, czy nie było tak przy „Lilo i Stitch”. Chociaż kiedy poszłam do kina na premierę, pomyślałam: „O, to tak to brzmiało? Wydawało mi się, że nagrałam to trochę inaczej”. Ale rzeczywiście ta przestrzeń audio bardzo mnie uspokaja. Zamykam się w studiu, odcinam od wszystkiego. Nikt na mnie nie patrzy. Jestem tylko ja i mikrofon. Tak, chyba właśnie „Lilo i Stitch” było takim projektem, przy którym najmniej się siebie czepiałam. Podobnie było z serialem „Ironheart” Marvela. Tam też się trochę biczowałam, ale kiedy później tego słuchałam, pomyślałam: „No, całkiem nieźle”.

Czy dubbing jest właśnie przestrzenią, w której czujesz się najbardziej swobodnie?

Chyba powiedziałabym, że czuję się tam inaczej. Nie wiem, czy w stu procentach swobodnie, bo są też projekty, z którymi naprawdę się zmagam. Czasami trudno jest mi zagrać daną postać. Zdarza się, że któregoś dnia nie mogę jej złapać, nawet

jeśli już wcześniej ją grałam. Coś zapomnę, coś nie idzie. Wtedy bardzo się na siebie denerwuję. Muszę wziąć dwa głębokie oddechy i jeszcze raz nagrać te kwestie. Ale jest w tym coś tajemniczego. Wchodzisz do studia, za szybą siedzą reżyser i realizator, a w swojej – jak ja to mówię – „kajucie” jesteś tylko ty i mikrofon. Zakładasz słuchawki. Ja zawsze proszę, żeby zgasić światło. Mam przed sobą monitor i zaczynam grać.

Jak w ogóle przygotowujesz się do roli dubbingowej? Kiedy przygotowujesz się do roli na planie filmowym, masz czas, żeby poznać postać, wejść w jej świat, dowiedzieć się o niej więcej... A jeżeli to jest dubbing i pracujesz właściwie tylko jednym środkiem wyrazu, czyli głosem, to jak wygląda przygotowanie do takiej roli?

Do roli Riri Williams w „Ironheart” przygotowywałam się w ten sposób, że obejrzałam wszystkie produkcje Marvela. Niektóre części są mi bliższe, inne trochę mniej, ale musiałam zrozumieć, kim jest Riri, skąd się wzięła i dlaczego pojawia się właśnie w tym miejscu historii. Kilukrotnie oglądałam „Czarną Panterę: Wakanda w moim sercu”, bo właśnie tam po raz pierwszy pojawia się moja bohaterka. Oczywiście wcześniej nie widzę materiałów z produkcji, którą będę dubbingować. Mogę obejrzeć tylko wcześniejsze filmy czy odsłony. Natomiast już w studiu, zanim nagrałam każdą scenę, oglądałam ją dwa lub trzy razy. Potem było pierwsze podejście, drugie, szybka analiza i nagrywaliśmy dalej. Przy serialu było już łatwiej, bo wcześniej robiłam filmową część tej historii.

Natomiast jeśli mówimy o serialach audio, to przygotowanie wygląda właściwie tak samo jak do roli filmowej. Dostaję scenariusz, czytam go od początku do końca i zastanawiam się, kim jest moja bohaterka. Już podczas lektury wyobrażam sobie, jak wygląda, jak się zachowuje i jak myśli. W ogóle nie myślę wtedy głosem. Myślę całą sobą. Tak jakbym miała zagrać tę postać na planie, a nie przed mikrofonem. Zastanawiam się, jak bym ją przedstawiła. Potem wchodzę do studia i albo gram sama, albo z partnerem. I po prostu działamy. Na przykład przy serialu „SuperNova” dla Audioteki miałam przyjemność grać między innymi z Janem Fryczem. Przy „Last Night” grałam z Piotrem Polakiem. Miałam też przyjemność pracować z Jackiem Borcuchem przy „Terapeucie”, którego Jacek również reżyserował. To są fantastyczne spotkania. Zawsze po takich projektach mam poczucie, że chciałabym jeszcze raz. To jest trochę jak praca na planie, tylko szybciej, bo sesji jest mniej. Sama praca pozostaje jednak taka sama – analiza postaci i siebie w tej postaci. Nic się nie zmienia. Zawsze mówię, że jedyna różnica polega na tym, że nie widać mojej twarzy.

A jesteś teraz w jakimś procesie twórczym?

Tak. Zaraz zaczynam nowe projekty dubbingowe, ale w tej chwili jestem przede wszystkim w trakcie prób do spektaklu „Zakonnice w przebraniu”. To będzie bardzo przyjemna komedia. Reżyseruje





Wojtek Błach i właśnie nad tym teraz pracujemy. Pierwszy spektakl zagramy 26 sierpnia, a drugi odbędzie się 2 września w Scenie Relax.

A teatr to też jest dla ciebie taka szczególna przestrzeń? Lubisz przeskakiwać między planem zdjęciowym, sceną teatralną i dubbingiem?

Bardzo. Pamiętam, że kiedy miałam niecałe dwa naście lat, grałam w spektaklu „Dziecko w krainie muzyki”. Grałam dziewczynkę, która poszukuje odpowiedzi na różne pytania i trafia do niezwykłej krainy muzyki, gdzie spotyka wielu bohaterów. To było niesamowite doświadczenie. Występowałam u boku Olafa Lubaszenki, Dominiki Ostalowskiej czy Ireny Santor. Dla mnie byli wtedy trochę jak ciocie i wujkowie. Przy okazji odkrywałam kolejne sceny teatralne. Graliśmy w Teatrze Dramatycznym, w Sali Kongresowej, jeździliśmy też po innych miastach. Dlatego powrót do teatru po latach był dla mnie czymś wyjątkowym. Tak naprawdę z teatrem na nowo połączyłam się jakieś cztery lata temu.

Swoje pierwsze kroki stawiałaś właśnie na scenie teatralnej, prawda?

Tak naprawdę mój pierwszy epizod był przed kamerą. Miałam siedem lat, czyli to było prawie dwadzieścia trzy lata temu. To była reklama margaryny. Kiedy miałam dziewięć lat, zagrałam w filmie dyplomowym Karoliny Bielawskiej „Koniec lata”. Potem, gdy miałam dziesięć lat, pojawił się teatr.

Mam wrażenie, że ta branża nie ma już przed tobą żadnych tajemnic.

Na pewno ma jeszcze jakieś ciemne zakamarki, o których nie wiem. Ale może kiedyś się dowiem. Zawsze zostaje jakaś tajemnica. Poza tym, co to byłoby za frajda, gdybyśmy wszystko wiedzieli? To też nawiązanie do wewnętrznego krytyka. Nawet jeśli przy jakimś projekcie wydaje mi się, że już to mam, mogę działać to i tak zawsze znajdzie się jakiś element który mnie zaskoczy. I dobrze, bo inaczej nie byłoby już tej radości z odkrywania. Lepiej wiedzieć mniej i cały czas coś eksplorować.

A czy są jeszcze jakieś wyzwania, których przez te dwadzieścia trzy lata kariery nie miałaś okazji doświadczyć, a bardzo chciałabyś je dopisać do swojego portfolio?

Film. Pełnometrażowy film jako dorosła aktorka. Kiedy byłam dzieckiem, nastolatką, a później jeszcze chwilę po studiach, grałam już w produkcjach pełnometrażowych. Teraz chciałabym spełnić swoje marzenie i dostać rolę, która byłaby prawdziwym aktorskim rollercoasterem. Taką, o jakiej nawet mi się nie śniło. Bardzo bym tego chciała. Już sama myśl o tym sprawia mi ogromną radość, bo często wyobrażam sobie, jak wyglądałby mój wymarzony plan filmowy. Bardzo chciałabym też jeszcze raz zagrać Ofelię z Hamleta, już jako dorosła kobieta. To była moja

rola dyplomowa – spektakl „4xHamlet”. Wtedy bardzo to przeżywałam. Chciałabym zmierzyć się z tą postacią jeszcze raz, ale już z innym doświadczeniem. **II**

ENGLISH

I WANNA DO EVERYTHING THE BEST I CAN

Julia Trojanowska: Julia, you're a theatre, television, film, and voice actress, but I'd actually like to start with a different role of yours. At See Bloggers, you moderated two panel discussions. That must have been quite a challenge.

Julia Chatys: It definitely was. The biggest challenge for me was stepping into the role of a moderator, especially when all I had to work with was a general outline of the discussion. I kept wondering whether I'd be able to stay natural, keep the conversation flowing, and respond spontaneously to whatever came up. I also had more than twenty backup questions to help guide the discussion, make sure I didn't interrupt the guests, and at the same time keep the conversation moving in the right direction. I thought I was going to lose my mind from the stress. Luckily, I didn't. It also helped that the panels were spread over two days—Saturday and Sunday. But yes, it was an experience I'd happily do again.

What were the panels about?

They covered two very relevant and fascinating topics: authenticity on social media and dealing with criticism and online hate. They were incredibly important conversations. I got to hear different perspectives, but also very personal stories, because our guests spoke openly about their own experiences. Some of those stories were genuinely shocking. There were also questions from the audience—some of them quite unusual, even surreal. One woman shared that someone had reported her account simply because she posted photos of her children. The situation escalated to the point where both a family court officer and the police became involved.

There are some truly bizarre things happening online. I'm grateful I had the chance to talk about this topic because, fortunately, I haven't experienced that level of hate myself. I hope I never will, and if I do, I hope I'll know how to deal with it.

It's important to speak up against this kind of behavior. I'm glad the topic was addressed. This year's See Bloggers was all about self-acceptance and showing a more authentic version of ourselves. We discussed whether that's ultimately a good or a bad thing, but we also talked about the darker side of social media—criticism, hate, and hate speech in general.

I'm really happy I could be part of those conversations and meet people who shared such extreme experiences. It's heartbreaking when someone wishes





harm on another person's loved ones or writes disgusting things about them simply because they feel anonymous behind a screen. It's cruel and deeply damaging.

That was also the overall message of the event: we need to talk about these issues, not be afraid of them, stand up to them, and refuse to accept this kind of behavior. We also discussed different ways of dealing with hate—whether to engage with it, ignore it, or seek professional help. It all depends on the scale of the problem.

For me, it was an incredibly valuable experience, both from the perspective of learning how to moderate a discussion and on a personal level. It was emotionally intense, especially considering that each panel lasted only 45 minutes. There were around five to seven guests in each discussion, and I wanted to give everyone roughly the same amount of attention. That was another challenge. I had to constantly balance the timing and steer the conversation in a way that kept it flowing naturally.

You mentioned that one of the panels focused on authenticity on social media. You're an actress, but you're also active on social media yourself. It feels like that's become an inseparable part of working in the entertainment industry.

It really has. These days, whether you're in film, theatre, or television, it's difficult to find anyone who doesn't combine their professional career with an online presence. It's simply become part of the job.

I've even heard that some casting directors expect actors to have social media profiles.

Yes, that happens quite often. Producers usually ask for specific social media statistics.

I'd love to hear your perspective on that. You run your own social media, and you also moderated a panel about authenticity. You come across as someone who's genuinely positive, open, and unafraid to speak her mind. Is that the same person people see on your profile?

I like showing a lot of my work, but not only when I'm perfectly styled or looking "flawless." I show myself as I really am. When I walk into a recording studio, I'm wearing a hoodie, glasses, and headphones. You'll also see me rollerblading, out for a walk, or spending time with my mum. I naturally mix my professional life with my everyday private life, and that's exactly how I like it because that's who I am.

If you look at my profile, you'll see different versions of me. Whether people like that or not, that's simply me.

As you said, I come across as open and straightforward. Honestly, I don't know how else I could be. Of course, there are certain topics I choose not to discuss because I don't feel the need to invite unnecessary controversy into my life. But what's im-

portant to me is showing that I'm genuine. I don't like using the word "normal" because everyone is normal in their own way. I'm simply myself, in my natural environment.

I can't imagine trying to make everything look perfect. I certainly don't look the way I do today—well dressed, with my makeup and hair done—every single day. When I go to rehearsals, recording sessions, or simply meet friends for a walk, that's not what I look like. Nobody lives like that all the time, so why should I pretend that I do?

I think it's worth showing that natural side of yourself and encouraging others to do the same. Appearance has a huge impact on how people perceive us. Social media exists so people can choose what resonates with them and what doesn't. So why wouldn't I present myself in a way that I genuinely accept and feel comfortable with? If I tried to be someone else, I'd constantly feel uncomfortable, like something wasn't right. And I don't like feeling that



allegro

Jesteśmy też
w social
mediach -
dołączysz?



way.

I get the impression that audiences are becoming increasingly good at spotting when something feels fake on social media.

I've noticed that too. More and more, we're moving toward authenticity because that's what audiences expect from us. Just as you said, they notice when something feels fake, and they really don't like it. People can pick up on even the smallest signs of artificiality or insincerity.

Of course, it's all a matter of perspective. What seems fake to one person might feel completely genuine to someone else. There's also this tendency for people to think they already know us. But people change. Our outlook on life changes. We change as people.

You mentioned that, fortunately, you haven't experienced serious online hate. But has there ever been a moment since becoming active on social media when you felt someone crossed a line? Maybe not outright hate, but something that made you uncomfortable. Do social media still feel like a safe space for you?

One funny thing is that people seem to pay an unusual amount of attention to... my feet. (laughs) It sounds ridiculous, but it's true. I find it hilarious, and I never really know how to respond to those comments.

I also get a kick out of people who genuinely believe I'm the character I play on television—that my on-screen life is my real life, or that my TV husband is actually my husband.

As for what I post, there's nothing that really bothers me. I actually enjoy mixing different kinds of content. For example, when I shared my See Bloggers recap, it included highlights from the event, the people I met, and what I did, but I also added a photo of myself at home with a book I'd received there—The Courage to Be Disliked. I highly recommend it; it's an excellent book.

That's what feels authentic to me—a real mix of things. I don't feel like my feed has to be perfectly curated or aesthetically flawless. I went through a phase where everything was very "beauty"-focused, and for a while it worked. But eventually I felt I needed to break that pattern and make it more varied. That feels much more like me.

That said, I still enjoy creating polished, beauty-style content. It just appears when it fits the occasion. Most of what I post simply depends on the moment and what feels right.

We started by talking about your new role as a moderator at See Bloggers and your activity on social media. But above all, you're an actress with extensive experience in theatre, television, film, and voice acting. We've already mentioned that social media has become deeply intertwined with the en-

tertainment industry. From your perspective, has the industry changed significantly over the years you've been working in it, or have the fundamentals remained the same?

The biggest change is definitely that before I'm invited to a casting, I now have to submit a self-tape. Self-tapes have become an integral part of our profession and are here to stay. Today, they're essentially the first stage of the casting process. It's almost impossible to be invited to an in-person audition without recording one first. Only after you make it through that initial round can you hope to be called back.

It's a difficult format because you're the one who has to decide when the take is good enough. You finish recording a scene and think, "Okay, that was fine." The person reading opposite you might say, "Jula, that was great," but you never really know whether that's what the casting directors are looking for. If you were auditioning in person, someone could react, direct you, or suggest a different approach. With



self-tapes, you don't get any of that, so it always feels like a fifty-fifty chance. That's probably the biggest change.

The second major shift is social media. For some roles, your Instagram following, your reach, and your engagement statistics matter. That's no secret. Honestly, I think it's a fairly natural mechanism because productions want to reach the widest audience possible. I understand that—it helps bring in more viewers.

And speaking of technical changes on set, although I haven't had the opportunity to work with one yet, I hope I will one day—the role of the intimacy coordinator has become part of the filmmaking process.

What about the pace of work? It feels like everyone says life has sped up—we all work more, work harder, and work faster. Do you feel the same thing in the film industry? Has the pace changed, and has it affected quality?

Absolutely.

I didn't fully realise it until I'd spent several years working on film sets and television series. Ideally, every take would be perfect the first time because there's simply no longer enough time for endless retakes. You have to do your best work as quickly as possible because production schedules, broadcast deadlines, and everyone else's commitments leave very little room for slowing down.

I remember when simply going to a film set, a rehearsal, or a recording studio felt like a special occasion. Now, speaking from my own experience, I might have three recording sessions in a single day, plus a list of other things to take care of. The following day I'll have rehearsals and two more recording sessions, and the next day I'll be on set. Then I catch myself thinking, "You know, I could probably fit in one more thing." It's unbelievable because what used to fill an entire week now happens over just a few days. With so many projects happening at once, it feels like the days themselves have become shorter.

I've always had this need to do everything as well as I possibly can. But sometimes there simply isn't an opportunity to shoot another take, so I have to trust that what I did was enough. I'm also learning to accept my own mistakes. It's something I'm still working on.

If I shoot fifteen scenes and twelve turn out really well while three are simply good, that should still be perfectly fine. But my first thought is always, "I could have done that better." That voice is still there.

When you're juggling so many responsibilities, though, you eventually reach your limits. Everyone has a certain capacity, and naturally, the more exhausted you become, the more mistakes happen. Which brings us back to the same lesson—allowing yourself to make mistakes. I'm still learning how to do that.



Jasmine
DECOR

SZTUKA. DESIGN. NASTRÓJ.
Ręcznie tworzone lampy kwiatowe

www.jasminedecor.pl



Are you very hard on yourself?

Very. And I don't think that's going to change any-time soon.

How do you cope with it?

Honestly? I don't.

I've just started reading *The Courage to Be Disliked*. Maybe it'll help. It's also about acceptance.

But seriously, if something doesn't go well, I analyse it endlessly. I analyse almost everything. I'll probably analyse this interview too—wondering whether I answered properly, whether I said everything I wanted to say, or whether I should have phrased something differently. Sometimes I feel like it's getting worse with time. (laughs) It should probably be the other way around—I should be learning to let things go a little more.

On the other hand, it also has its advantages because it constantly pushes me to improve and keep

developing. That drive is valuable, but at the same time you have to be careful not to let your inner critic take over.

Humility is essential, but you also can't drive yourself crazy. You have to be realistic about what you can do. I take everything to heart. I replay situations over and over in my mind and always think I could have done something better. What's more, if someone tells me, "It was great, but you could improve this one thing," I immediately focus on the criticism and think, "So I should have done it differently." I completely overlook the fact that the first thing they said was, "It was great."

Has there ever been a project where your inner critic stayed quiet? One where, from beginning to end, you genuinely felt you'd done the best you possibly could?

Probably some of my dubbing projects. I think *Lilo & Stitch* might have been one of them. Although when I went to the premiere, I remember thinking, "Oh... so that's how it sounds? I thought I'd recorded it a little differently."

Still, there's something about working in audio that really calms me down. I walk into the studio, shut everything else out, and no one is looking at me. It's just me and the microphone.

Yes, I think *Lilo & Stitch* was probably the project where I criticised myself the least. It was similar with Marvel's *Ironheart*. I was still quite hard on myself during the recording process, but when I listened to the finished result later, I thought, "Actually... that's pretty good."

Is voice acting the place where you feel most at ease?

I think I'd say I feel... different there. I'm not sure I'd say completely at ease because there are still projects I genuinely struggle with. Sometimes it's difficult to find a character. There are days when I simply can't connect with them, even if I've played them before. I forget something, something just doesn't click, and I get really frustrated with myself. I have to stop, take two deep breaths, and record the lines again.

But there's something almost magical about it. You walk into the studio, the director and sound engineer are sitting behind the glass, and in what I jokingly call my "cabin," it's just me and the microphone. I put on my headphones, and I always ask for the lights to be turned off. I have the screen in front of me... and then I simply start acting.

How do you prepare for a voice role? When you're preparing for an on-screen role, you have time to get to know the character, understand their world, and learn who they are. But with dubbing, where your voice is essentially your only acting tool, what does that preparation look like?



For the role of Riri Williams in Ironheart, I prepared by watching every Marvel production. Some films were more familiar to me than others, but I needed to understand who Riri was, where she came from, and why she appears at that particular point in the story. I watched Black Panther: Wanda Forever several times because that's where my character is introduced for the first time.

Of course, before recording, I don't get to watch the production I'm actually dubbing. I can only revisit previous films or earlier instalments. Once I'm in the studio, though, I watch each scene two or three times before recording it. Then we do a first take, a second take, briefly discuss it, and move on. Recording the series itself was easier because I'd already worked on the film that introduced the character.

When it comes to audio dramas, though, my preparation is virtually identical to how I'd prepare for an on-screen role. I receive the script, read it from beginning to end, and ask myself who my character really is. Even while reading, I imagine what she looks like, how she behaves, and how she thinks. I don't think in terms of voice at all—I think with my whole body. I approach it exactly as if I were going to play the role on camera rather than behind a microphone. I imagine how I would portray her.

Then I walk into the studio and either perform alone or with another actor, and we simply play the scene.

For example, in the audio series SuperNova for Audioteka, I had the pleasure of working with Jan Frycz. In Last Night, I worked alongside Piotr Polak. I also had the opportunity to collaborate with Jacek Borcuch on The Therapist, which he also directed. Those are incredible experiences. After every project like that, I always wish I could do it all over again.

In many ways, it's just like working on a film set, only faster because there are fewer recording sessions. The creative process itself doesn't change. It's still about analysing the character and understanding yourself within that character. I've always said the only real difference is that no one sees my face.

Are you currently working on anything creatively?

Yes. I'm about to start several new dubbing projects, but right now I'm mainly focused on rehearsals for the stage production Sister Act. It's going to be a really fun comedy. The play is directed by Wojtek Błach, and that's what we're working on at the moment. Our first performance will be on August 26, followed by another on September 2 at Scena Relax.

Is theatre a special space for you as well? Do you enjoy moving between film sets, the stage, and voice

acting?

Very much.

I remember that when I was almost twelve years old, I performed in a play called A Child in the Land of Music. I played a young girl searching for answers to life's questions who finds herself in a magical world of music, where she meets all sorts of extraordinary characters. It was an incredible experience.

I had the opportunity to perform alongside Olaf Lubaszenko, Dominika Ostalowska, and Irena Santor. At that age, they felt almost like aunts and uncles to me. Through that production, I also got to discover different theatres. We performed at the Dramatic Theatre, the Congress Hall, and toured to other cities as well.

That's why returning to the theatre years later felt so special. In fact, I really reconnected with theatre only about four years ago.



Your first steps as an actress were actually on stage, weren't they?

Actually, my very first job was in front of a camera. I was seven years old—that was almost twenty-three years ago now—and it was a margarine commercial.

When I was nine, I appeared in Karolina Bielawska's graduation film *End of Summer*. Then, when I turned ten, theatre entered my life.

It feels like there can't be many secrets left in this industry for you.

Oh, I'm sure there are still plenty of hidden corners I know nothing about. Maybe one day I'll discover them. There should always be some mystery left.

Besides, what would be the fun if we already knew everything?

It also ties back to that inner critic we talked about. Even when I feel like I've mastered something and know exactly what I'm doing, there's always something unexpected waiting around the corner. And I'm glad there is, because otherwise you'd lose that excitement of discovering something new.



I'd rather know a little less and keep exploring.

After twenty-three years in the industry, are there still any challenges you haven't had the chance to experience but would love to add to your portfolio?

A feature film.

I'd love to star in a full-length feature as an adult actress. I appeared in feature films when I was a child, a teenager, and for a short time after graduating from drama school. But now I dream of landing a role that would be a true emotional rollercoaster—something far beyond anything I've ever imagined.

I'd love that more than anything.

Just thinking about it fills me with excitement because I often picture what my dream film set would be like.

I'd also love the chance to play Ophelia from *Hamlet* again—this time as an adult woman. It was my graduation role in the production *4xHamlet*, and I experienced it very intensely at the time. I'd love to revisit that character now, bringing everything I've learned and all the life experience I've gained since then. ■





ANNA PRÓCHNIAK

AKTORSTWO TO DLA

MNIE SZTUKA SPOTKANIA

TEKST ALICJA PRUSZYŃSKA
ZDJĘCIA MICHAŁ ORLIŃSKI

TEKST JAKUB WEJKSZNER ZDJĘCIA MARCIN BOSAK



Karolina Ciesielska: Moim gościem jest Anna Próchniak – jedna z najciekawszych polskich aktorek, która zdobyła uznanie nie tylko na rodzimym rynku filmowym, ale coraz śmielej zaznacza swoją obecność także na arenie międzynarodowej. Całkiem niedawno wróciłaś z premiery dużej francuskiej produkcji. Co to za film?

Anna Próchniak: To Les Rayons et les Ombres (polski tytuł: Blaski i Cienie) w reżyserii Xaviera Giannoliego – twórcy między innymi obsypanych Cezarami Straconych złudzeń. W głównych rolach występują Jean Dujardin, August Diehl oraz Nastia Golubeva-Carax, córka Leosa Caraxa, dla której jest to pierwsza tak duża rola filmowa. Ja wcielam się w postać Lydii Rogers – gwiazdy paryskiego kabaretu i femme fatale.

To kostiumowa produkcja, której akcja rozgrywa się na przestrzeni kilkudziesięciu lat, choć osadzona jest przede wszystkim w Paryżu lat czterdziestych. Pełna niuansów opowieść o kolaborantach – przedstawicielach paryskich elit współpracujących z nazistami. Giannoli przygląda się swoim bohaterom z ogromną ciekawością, ale też niepokojem, unikając prostych ocen. Dzięki temu film wybrzmiewa bardzo współcześnie, wiele pytań, które stawia, pozostaje dziś zaskakująco aktualnych.

Nie jest to jednak mój pierwszy francuski film. Pierwszą międzynarodową produkcją, która otworzyła mi drzwi do kolejnych projektów, były Niewinne – francusko-polska koprodukcja w reżyserii Anne Fontaine. To było już dwanaście lat temu... Le temps passe vite!

Czyli Francja cały czas do ciebie wraca.

Tak. Niewinne miały premierę na festiwalu Sundance, znalazły się w konkursie głównym i zebrały bardzo dobre recenzje za granicą. W Polsce, mam wrażenie, zostały przyjęte nieco bardziej powściągliwie. To jednak film, który jest dla mnie ważny i który na różnych etapach mojego życia zawodowego wracał do mnie wielokrotnie. Wielu ludzi, których spotykałam na zagranicznych planach, nawiązywało do Niewinnych, więc mam poczucie, że ta historia rzeczywiście zatacza koło.

Bardzo mnie to cieszy. Dzięki temu mogę pracować na planach różnych europejskich produkcji, a czasem także poza Europą. Bardzo cenię twórców, których przez te lata poznałam, i jestem wdzięczna za możliwość pracy z nimi. Kino francuskie pozostaje jednak szczególnie bliskie mojemu sercu.

Świat cały czas bardzo ceni kino francuskie. Mówi się nawet – choć pewnie nie dotyczy to wszystkich filmów – że francuskie produkcje są często „bezkarnie bogate”. W tym przypadku budżet również był imponujący – ponad 30 mi-

lionów euro. To na pewno wpływało na twoją pracę. Jak pracowało ci się przy tak dużej produkcji i z tak rozbudowanymi scenografiami?

Miałam szczęście pracować przy wielu produkcjach z dużymi budżetami, więc wiem, jak ogromny wpływ mają one na komfort pracy całej ekipy.

W przypadku tego filmu rzeczywiście dysponowaliśmy budżetem przekraczającym 30 milionów euro. Dzięki temu mogliśmy kręcić w samym Paryżu, co wcale nie jest oczywiste. To bardzo wymagające logistycznie miasto – nie ma miejsca na zaplecze techniczne czy kampery dla aktorów, więc często trzeba wynajmować hotele i organizować całą produkcję w zupełnie inny sposób.

Kręciliśmy między innymi na Champs-Élysées oraz w historycznych budynkach, do których na co dzień nie ma dostępu. Pracowaliśmy także w opuszczonych posiadłościach i zamkach pod Paryżem. To miejsca o niezwykłej historii, których właściciele często udostępniają je filmowcom, bo ich utrzymanie i renowacja są ogromnym wyzwaniem.

Niedawno, podczas festiwalu filmowego przy okazji Pojedynku, rozmawiałam z Dianą Dąbrowską o tym, czym dziś właściwie jest scenografia i jak rozwój technologii, w tym AI, może wpłynąć na pracę aktorów. Pomyślałam wtedy, że miałam naprawdę dużo szczęścia. Wielokrotnie pracowałam w przestrzeniach, które były autentyczne albo z niezwykle precyzją odtworzone. To daje aktorowi ogromną swobodę – wystarczy wejść do takiej przestrzeni i ona natychmiast uruchamia wyobraźnię. Scenografie fundują nam taki rodzaj teleportu.

Podobnie jest z kostiumami. W tym filmie wiele z nich było autentycznych albo szytych specjalnie dla nas na podstawie historycznych wzorów. To niezwykle uczucie nosić ubrania, które niczego nie udają. One po prostu należą do świata opowieści i bardzo pomagają w budowaniu postaci.

A czy pomaga granie u boku laureata Oscara, Jeana Dujardina, który przecież otrzymał tę nagrodę za Artystę? Czy praca z nim i obserwowanie go na planie czegoś uczy?

Zdecydowanie. Pamiętam, jak oglądałam Artystę w kinie w 2012. Ten film zrobił na mnie ogromne wrażenie i nigdy nie przypuszczałam, że kiedyś spotkam Jeana na planie.

Miałam już okazję pracować z wybitnymi twórcami i aktorami z Europy czy Stanów Zjednoczonych, ale to spotkanie i było dla mnie szczególnie wyjątkowe. Zwłaszcza że miałam grać po francusku. Jean jest Francuzem, a dla mnie nie jest to język, którym posługuję się swobodnie. Na co dzień pracuję głównie po angielsku



albo po polsku. Francuskiego uczyłam się pare lat i między innymi dzięki tym podstawom dostałam tę rolę, ale mimo wszystko było to dla mnie spore wyzwanie.

Praca z Jeanem okazała się fascynującym doświadczeniem. Uwielbiam obserwować moich partnerów filmowych, a on jest niezwykle perfekcjonistą. Sama również mam w sobie rys perfekcjonizmu, więc w wielu jego zachowaniach odnajdywałam coś bardzo znajomego. Równie ciekawa była dla mnie dynamika między nim a reżyserem Xavierem Giannolim. Miałam wrażenie, że porozumiewają się niemal bez słów i doskonale rozumieją swój sposób pracy.

Fascynowało mnie obserwowanie kolejnych dubli. Jean operuje pauzą i bardzo subtelnymi zmianami, które ostatecznie robią ogromną różnicę. Czasem wystarczyło nieco inne spojrzenie, minimalnie zmienione tempo albo ledwie zauważalny grymas twarzy, żeby scena nabrała zupełnie innego znaczenia. Mam poczucie, że jest aktorem niezwykle precyzyjnym i technicznym, ale jednocześnie cała ta technika pozostaje w służbie emocji. To imponujący warsztat.

Poza tym jest fantastycznym partnerem – profesjonalnym, uważnym, inteligentnym i obdarzonym świetnym poczuciem humoru. To było doświadczenie, z którego naprawdę wiele wyniosłam, ale też po prostu ogromna przyjemność.

Zostańmy jeszcze na chwilę przy tym planie. Często słyszy się, zwłaszcza w kontekście kina francuskiego, że dużą rolę odgrywa w nim improwizacja. Czy w tym przypadku również tak było?

Tak i było jej naprawdę dużo. Xavier powiedział mi o tym już podczas naszej pierwszej rozmowy, kiedy zaproponował mi rolę. Byłam wtedy w Szkocji, na planie poprzedniego projektu. Rozmawialiśmy przez FaceTime, a on pokazywał mi magazyny kostiumów, moodboardy i przygotowania do filmu.

Pod koniec rozmowy Xavier powiedział: „Napisałem scenariusz, ale się nim nie przejmuj, bo i tak wszystko będziemy zmieniać na bieżąco”. Przyznam, że trochę mnie to przeraziło – od razu odezwał się mój perfekcjonizm. Czym innym jest improwizować w języku, który zna się bardzo dobrze, a czym innym w takim, w którym nie czuje się jeszcze jak ryba w wodzie. Xavier rzeczywiście często przepisywał sceny i zachęcał nas do improwizacji. Na początku było to dla mnie bardzo trudne. Samo wejście na nowy plan jest za każdym razem wyzwaniem, a tutaj dochodził jeszcze język. Pracowałam z coachem językowym, Alice Cavillan, która pomagała również Augustowi Diehlowi. Bardzo zależało mi na tym, żeby najpierw dobrze opanować tekst i poczuć się pewnie. Ale już po jakimś czasie, kiedy poczułam się pewniej, zaczęłam pytać, czy mogę coś dopowiedzieć, coś zmienić, bardziej pobawić się sceną.

To był proces zanurzania się w języku. Kiedy mieszkasz w Paryżu, francuski otacza cię przez cały dzień – na ulicy, na planie, w rozmowach z ekipą. Z każdym dniem coraz bardziej się osłuchiwałam, coraz więcej sobie przypominałam. Zdjęcia trwały kilka miesięcy, więc mogłam pozwolić sobie na ten proces.

Dziś jestem z siebie naprawdę dumna, że udało mi się przez to przejść. Mam jednak w sobie coś z tancerki – zostało mi przekonanie, że pewne rzeczy po prostu trzeba wypracować. Nie wszystko przychodzi od razu.

Właśnie chciałam o to zapytać. U ciebie dyscyplina i przygotowanie są chyba bardziej naturalne niż improwizacja. Ale doświadczenie baletowe mogłaś tutaj jednak wykorzystać.

Myszę, że tak. Balet nauczył mnie dyscypliny i dążenia do perfekcji. Jest choreografia, którą trzeba wykonać jak najlepiej. Ale nauczył mnie też czegoś równie ważnego – że każde trudne zadanie można rozłożyć na mniejsze elementy i cierpliwie je przepracowywać. Jako dziecko właściwie nigdy nie kwestionowałam wyzwań, które przede mną stawiano. Po prostu je podejmowałam. Tutaj takim wyzwaniem było improwizowanie w języku, którym nie posługuję się biegle. Wiedziałam, że potrzebuję czasu, ale też wierzyłam, że znajdę własny sposób, żeby się w tym odnaleźć.

Natomiast balet na pewno ci się tam przydał, bo grałaś tancerkę i mogłaś wykorzystać to, że właściwie wychowałaś się w tańcu.

Tak, absolutnie. Od dawna marzyłam o tym, żeby zagrać tancerkę. Moja bohaterka jest gwiazdą paryskiego kabaretu i choć samych scen tanecznych nie ma wiele, były one dla mnie wyjątkową przyjemnością.

Na planie pracowałam z artystkami zajmującymi się tańcem kabaretowym i burleską. To były kobiety z bardzo różnych środowisk i o bardzo różnych doświadczeniach. Jedna z nich, podobnie jak ja, przez wiele lat trenowała balet, a dziś zajmuje się wyłącznie burleską. Opowiadała mi o tym, jak bardzo zmieniła się jej relacja z własnym ciałem.

To ciekawe przejście. W balecie ciało jest zdyscyplinowane, a w burlesce – jakby uwolnione.

Tak. W balecie ciało podlega bardzo rygorystycznym zasadom. Ma być perfekcyjne, szczupłe, zdyscyplinowane i podporządkowane określonej estetyce. Burleska wydaje mi się jej przeciwieństwem. To celebrowanie kobiecości, wolności i różnorodności. Ciało nie musi odpowiadać żadnemu wzorcowi – jest wystarczające i piękne takie, jakie jest. Bardzo poruszyło mnie to przejście.

Pamiętam też, że nie miałam wtedy właściwie czasu na przestawienie się z jednej produkcji na drugą.





Wróciłam ze Szkocji, zostawiłam jedną walizkę, spakowałam drugą i pojechałam do Paryża. Pracę zaczęliśmy od prób tanecznych i to okazało się dla mnie idealnym sposobem wejścia w nową rolę.

Ja zawsze zaczynam budowanie postaci od ciała. To dla mnie fundament pracy aktorskiej. Równolegle odbywały się przymiarki kostiumów, więc miałam czas, żeby odkrywać tę postać właśnie poprzez ruch i kostium. To był ogromny komfort. Mogłam spokojnie „wylądować” w nowym świecie. Najpierw oswoiłam ciało bohaterki, a dopiero później jej język. To bardzo mi pomogło.

W którym momencie pojawiło się aktorstwo?

W liceum trafiłam do klasy dziennikarsko-teatralnej. Przygotowywaliśmy spektakle, pracowaliśmy nad prozą i wierszem, mieliśmy też zajęcia z aktorami teatralnymi. W pewnym sensie był to już wstęp do egzaminów do szkoły aktorskiej.

Mimo to po maturze wybrałam Wydział Teatru Tańca. Taniec nadal był dla mnie niezwykle ważny, ale w trakcie studiów zaczęłam szukać czegoś więcej. Fascynował mnie teatr fizyczny, zwłaszcza zespoły z Niderlandów, takie jak DV8. Interesowało mnie łączenie różnych środków wyrazu – ruchu, głosu i aktorstwa. Nie chciałam wybierać jednej dyscypliny. Pociągało mnie myślenie o performerze jako o artyście, który swobodnie porusza się między nimi.

To były bardzo inspirujące studia. Mieliśmy zajęcia między innymi z Barbarą Hanicką, oglądaliśmy spektakle Krzysztofa Warlikowskiego, Grzegorza Jarzyny, performance Mariny Abramović i wielu innych twórców teatru fizycznego – wielu z nich przyjechało później prowadzić z nami warsztaty. Jednocześnie pracowaliśmy z Janem Peszkiem, Jerzym Stuhrem, Jerzym Świąchem czy Grzegorzem Mielczarkiem.

I to właśnie zajęcia z Janem Peszkiem okazały się dla mnie przełomowe. W jego pracy fascynowało mnie to, jak naturalnie łączył różne tradycje teatralne i jak ogromną wagę przywiązywał do ciała. Jego wieloletnie doświadczenia związane z pracą w Japonii i fascynacja teatrem Butoh oraz teatrem fizycznym były w tym bardzo wyraźnie obecne, podobnie jak w jego monodramach opartych na tekstach Bogusława Schaeffera.

Fascynowało mnie to, że w jego sposobie myślenia o aktorstwie ciało jest równie ważnym narzędziem jak słowo. Nigdy nie zamykał się w jednej definicji aktora. Pokazywał, że można czer-



KOMPLEKSOWE I BEZOBSŁUGOWE ZARZĄDZANIE NAJMEM I REMONTEM



KAMIENICA
PIŁKARZA.PL



ROI OD 5,5%
DO 9%



Adam Grzymski

📞 514-444-101

✉️ adam@kamienicapilkarza.pl

**MIESZKANIA INWESTYCYJNE
W ZREWITALIZOWANYCH
KAMIENICACH W CENTRUM ŁODZI**

pać z różnych dziedzin i budować własny język.

Wtedy pomyślałam: „A może jednak filmówka?”. Zostałam przyjęta do Szkoły Filmowej w Łodzi na drugi rok wydziału aktorskiego. Początki nie były łatwe, bo dołączyłam do grupy, która знаła się już od roku, ale bardzo szybko poczułam, że podjęłam właściwą decyzję.

To brzmi jak droga marzeń.

Tak, ale to jest też droga, na której trzeba uważnie słuchać intuicji i tego, co dzieje się wokół. Korzystać z okazji, które się pojawiają, i mieć odwagę podejmować wyzwania. Bardzo wiele rzeczy w moim życiu wydarzyło się właśnie dlatego, że powiedziałam „tak” w odpowiednim momencie.

Ale ty tej pierwszej okazji właściwie nie chciałaś wykorzystać. Z tego, co wiem, Filip Marczewski zaciągnął cię na casting do Bez wstydu.

Właśnie tak było. Dopiero co trafiłam do filmówki. Wiedziałam, że pierwsze lata studiów właściwie nie wolno było nam grać ani w filmach, ani w telewizji. Z tego co wiem dziś szkoły podchodzą do tego trochę bardziej elastycznie, bo wszyscy wiedzą, że zawodu aktora nie da się nauczyć wyłącznie na uczelni.

Pamiętam, że siedziałam na korytarzu między zajęciami. Obok trwały castingi do Bez wstydu Filipa Marczewskiego, który przygotowywał swój debiutancki film. Filip kilka razy wychodził z sali, aż w końcu zapytał, czy nie chciałabym spróbować. Odpowiedziałam, że przecież nie powinnam, bo jestem dopiero na drugim roku. A on powiedział tylko: „Wejdz i zobaczmy co będzie”.

Weszłam na casting. Potem dostałam zaproszenie na kolejny etap w Warszawie, a ostatecznie rolę. To było dla mnie bardzo ważne potwierdzenie, że decyzja o zmianie szkoły była słuszną.

Jakiś czas później rozpoczęły się castingi do Miasta 44 Jana Komasy. Dostałam rolę po wieloetapowych, trwających kilka miesięcy zdjęciach próbnych, ale sam film ostatecznie powstał dopiero dwa lata później.

Początkowo miałaś zagrać inną rolę.

Tak. Początkowo miałam zagrać Biedronkę i zaczęłam już przygotowania. Scenariusz towarzyszył mi przez bardzo długi czas. W międzyczasie zrezygnowałam z kilku innych propozycji, a potem, kiedy okazało się, że zdjęcia zostają przesunięte o rok. Rok później historia się powtórzyła. W międzyczasie zmieniła się obsada, ewoluował także scenariusz i ostatecznie Janek zaproponował mi rolę Kamy. Dziś myślę, że tak właśnie miało być. Czasem trzeba po prostu zaufać procesowi.

Mam wrażenie, że Miasto 44 przyniosło ci największą rozpoznawalność w Polsce. Czujesz się rozpoznawalną aktorką?

Szczerze mówiąc, nie zastanawiam się nad tym zbyt często. Bardziej zaskakuje mnie to, że bywam rozpoznawana w Londynie. Zdarza się, że ktoś zaczepia mnie na ulicy albo rozpoznaje na lotnisku czy w kawiarni. To zawsze jest dla mnie trochę surrealistyczne ale też bardzo miłe!

Myszę, że wynika to z tego, że przez ostatnie lata sporo pracowałam w Wielkiej Brytanii. Oprócz Tatuażysty z Auschwitz zagrałam w produkcjach BBC i Channel 4, a część filmów, w których wystąpiłam, jest tam dostępna na platformach.

Kiedy właściwie zaczęła się twoja międzynarodowa kariera? Czy był moment, w którym postanowiłaś, że wychodzisz poza Polskę?

Nigdy nie podjęłam takiej decyzji. To nie był plan ani kolejny punkt na liście do odhaczenia. Wszystko działo się bardzo organicznie.

Myszę, że pierwszym sygnałem było Bez wstydu. Grałam tam Romkę Irminę. Film miał premierę na festiwalu w Karlowych Warach i pamiętam, że ukazała się bardzo dobra recenzja w „Variety”, w której znalazło się też kilka ciepłych słów o mojej roli. Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat i wydawało mi się to kompletnie nierealne. Pomyślałam: „Napisało o mnie Variety. Jak to w ogóle możliwe?”.

W Szkole Filmowej w Łodzi jest sala ze sceną, którą studenci nazywają „Spełnia”. Krąży o niej legenda, że jeśli stanie się na niej i wypowie swoje marzenie z odpowiednią intencją, to ono się spełni. Podczas jednej z nocnych prób do egzaminu z Szekspira byliśmy tam z Filipem Pławiakiem. Filip powiedział, że chciałby grać w filmach. Ja powiedziałam, że chciałabym zagrać w filmie francuskim i w filmie o Powstaniu Warszawskim. Nie wiem skąd mi to przyszło do głowy – o castingach do Miasta 44 mieliśmy usłyszeć dopiero za rok.

Bardzo szybko się spełniło.

Tak. I chyba dlatego tak dobrze pamiętam tamtą noc. W tamtym marzeniu nie było żadnej strategii ani kalkulacji. Była po prostu ogromna szczerość, ciekawość, czystość intencji i pragnienie, żeby robić rzeczy, które mnie poruszają.

Filipowi też bardzo szybko się udało i nadal się udaje. Od początku miałam poczucie, że jest wyjątkowym aktorem. Zagrał wiele wspaniałych ról i bardzo się cieszę, że mogliśmy obserwować początki swoich dróg zawodowych równolegle. Bardzo mocno mu kibicuję.

Bardzo cię za to podziwiam i bardzo lubię to, jak dobrze mówisz o swoich kolegach aktorach i partnerach filmowych. Wielokrotnie słyszałam, z jakim uznaniem wypowiadasz się choćby o Jakubie Gierszale, z którym miałaś okazję grać – i w Pojedynku, który miał premierę kilka miesięcy temu, i wcześniej w Najlepszym. To zawsze jest piękne, kiedy aktorzy doceniają swoich partnerów na planie.



Dziękuję, że to zauważasz. Rzeczywiście staram się dostrzegać w ludziach to, co jest w nich dobre – i podkreślać to. Mam poczucie, że w naszym zawodzie bardzo łatwo skupić się na sobie. To do pewnego stopnia naturalne – w końcu to siebie wystawiamy na ocenę i pracujemy własną wrażliwością. Ale równie ważne jest dla mnie kierowanie uwagi na innych.

To chyba po prostu mój sposób bycia. Lubię słuchać ludzi, doceniać ich pracę i być wdzięczna za to, że nasze drogi się przecinają. Wydaje mi się, że dzięki temu ta praca staje się nie tylko ciekawsza, ale też zwyczajnie bardziej ludzka. Aktorstwo jest dla mnie sztuką spotkania. Nawet jeśli kamera skupia się na jednej osobie, dobra scena zawsze rodzi się między ludźmi.

A wracając do międzynarodowych produkcji – Niewinne Anne Fontaine z genialnymi zdjęciami Caroline Champetier były dla mnie pierwszym doświadczeniem pracy w zespole międzynarodowym. Na planie spotkały się wspaniałe polskie aktorki – Agata Buzek, Agata Kulesza i Joanna Kulig – a główną rolę francuskiej lekarki z Czerwonego Krzyża zagrała Lou de Laâge. To był naprawdę wyjątkowy kobiecy zespół.

Tyle świetnych aktorek, a jednak pamiętam, że w Polsce film nie został przyjęty aż tak entuzjastycznie. Tymczasem dziś właściwie każda z was ma imponującą karierę.

To prawda. Premiera w Sundance, kilka nominacji do Cezarów i świetne recenzje na świecie – a w Polsce raczej chłodne przyjęcie.

To był pamiętam czas, kiedy Agata Kulesza była już po Idzie. Na planie Niewinnych zastanawiała się, czy w ogóle lecieć na Oscary. Mówiła: „Czego ja tam będę szukać?”. A my wszystkie powtarzałyśmy jej: „Agata, jesteś naszym Adamem Małym. Musisz tam polecieć” (śmiech).

Dziś takie sytuacje zdarzają się coraz częściej, ale czasami ma się wrażenie, że to jedyna, niepowtarzalna szansa, więc warto z niej skorzystać.

Absolutnie!

A to, co wydarzyło się dla mnie później, potoczyło się już bardzo naturalnie. Jedno doświadczenie prowadziło do kolejnego.

Pamiętam, że podczas castingu do Tatużysty z Auschwitz reżyserka obsady, Kelly Valentine Hendry, poprosiła o moje sceny z Niewinnych. Ostatecznie nie dostała samych scen, tylko cały film. Po jednym ze spotkań na Zoomie powiedziała mi, że chciała obejrzeć tylko moje fragmenty, ale film zrobił na niej takie wrażenie, że nie mogła się oderwać.

Po Niewinnych pojawiały się kolejne zagraniczne propozycje. Nie wszystkie doszły do skutku – przez wiele miesięcy przygotowywałam się choćby do

głównej roli w czeskiej produkcji, ale ostatecznie nie udało się nam zgrać terminów. Później zagrałam w niezależnym, niskobudżetowym filmie kręconym w Belfaście, w Irlandii Północnej Bad Day for the Cut, gdzie razem z Józkiem Pawłowskim zagraliśmy rodzeństwo. I ku naszemu zaskoczeniu on również rok po Niewinnych trafił na festiwal Sundance!

No i oczywiście Tatużysta z Auschwitz.

Tak, ale to już było wiele lat później. W międzyczasie zagrałam jeszcze główną kobiecą rolę w filmie Vultures na Islandii. Pewnego dnia na plan do reżysera Börkura Sigþórssona przyjechała jego agentka z Londynu. Rozmawialiśmy o Niewinnych, o Polskiej Szkole Plakatu i o Kieślowskim. W pewnym momencie zapytała, czy nie chciałabym mieć agenta w Londynie. Powiedziała, że jej znajoma szuka młodych twarzy i nowych talentów. Umówiliśmy się na spotkanie w Independent i niedługo później podpisałam z nimi kontrakt.

To wszystko wydarzało się bardzo naturalnie. Potem był jeszcze łotewsko-belgijski Oleg, którego premiera odbyła się w Cannes, i kilka seriali, które zrealizowałam w Wielkiej Brytanii. Tatużysta z Auschwitz przyszedł dopiero później. Zdjęcia realizowaliśmy w 2023 roku.

To nie był tak zwany overnight success. Mam poczucie, że na ten moment pracowałam przez wiele lat – wszystkimi wcześniejszymi projektami, konsekwencją i determinacją. Krok po kroku.

Ale się udało. To była bardzo ważna rola, myślę, że także dla twojej międzynarodowej kariery. Serial był bardzo głośny, miał ogromną promocję i odniósł sukces. Otrzymałaś też nominację do BAFTA Scotland Awards, a znalazłaś się w gronie nominowanych obok Tildy Swinton i Saoirse Ronan. Samo znalezienie się w takim towarzystwie jest już pewnego rodzaju wygraną.

Tak, absolutnie. Odebrałam to jako kolejne ważne potwierdzenie. Podobnie jak wtedy, gdy przeniosłam się do filmówki i dostałam moją debiutancką rolę w Bez wstydu. Z czasem ta droga zawodowa staje się jednak coraz bardziej wymagająca. Wiąże się z koniecznością podejmowania trudnych, czasem bezkompromisowych decyzji. Bywa, że oznacza to również świadome rezygnowanie z projektów – bo nie są zgodne z kierunkiem, w którym chcę się rozwijać – czy dłuższe przerwy w pracy.

Samo podejmowanie takich decyzji pewnie jest bardzo trudne.

I tak i nie. Wiele decyzji podjęłam intuicyjnie bo bardzo silnie czułam że „to jest to” albo “ze to nie dla mnie”. Są jednak momenty, kiedy zaczynasz się zastanawiać, czy droga, którą wybrałaś, rzeczywiście jest właściwa. I właśnie dlatego nominacja do BAFTA Scotland była dla mnie tak ważna. Nie dlatego, że nagle coś zmieniła, ale dlatego, że na chwilę uciszyła ten wewnętrzny głos, który od czasu



51. FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH

21-26.09.2026 GDYNIA

ORGANIZATORZY			WSPÓŁORGANIZATORZY	
 Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego	 FilMOTEKA Narodowa Instytut Audiowizualny	 POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ	 NARODOWE CENTRUM KULTURY	
 60 lat Stowarzyszenie Filmowców Polskich	 PREZYDENT MIASTA GDYNI	 MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO		
MECENASI		SPONSOR GŁÓWNY	PARTNERZY STRATEGICZNI	
 Energa GRUPA ORLEN		 INVEST KOMFORT	 Mercedes-Benz BMG Goworowski Autoryzowany dealer Mercedes-Benz	 Dr Irena Eris
OGÓLNOPOLSCY PATRONI MEDIALNI				
	 Jedynka POLSKIE RADIO	 Trójka POLSKIE RADIO	 VOGUE	 BAZAAR
LOKALNI PATRONI MEDIALNI			PARTNER MEDIALNY	
 Radio Gdańsk	 trojmiasto.pl	 Dziennik Bałtycki	 TVP 3 GDĄSK	 any where platforma medialna

do czasu pyta: „Czy na pewno idę we właściwym kierunku? Czy to w ogóle ma sens?”. To było dla mnie bardzo cenne potwierdzenie, że warto ufać własnym wyborom.

Ostatecznie rola w *Tatuażyscie z Auschwitz* okazała się dla ciebie bardzo znacząca. Mówisz o sukcesie i docenieniu przez krytyków, ale myślę, że także przez widzów. Promocja serialu była ogromna, więc na pewno przyniesie to kolejne efekty. Jednocześnie była to chyba bardzo trudna rola – samo przygotowanie do niej, a nawet konieczność ogolenia głowy. Jakim doświadczeniem był ten projekt?

Wiesz, wydaje mi się, że włosy to tylko włosy. Oczywiście bardzo zmieniają wygląd, ale w tym przypadku ta decyzja miała głębszy sens. Była radykalna, osadzona w konkretnej historii, kontekście i bardzo pomogła mi zbliżyć się do postaci.

Jak wspominałam, zawsze zaczynam budowanie roli od ciała. Rozmawialiśmy już o scenografii i kostiumach – one pomagają aktorowi uwierzyć w świat filmu. Tutaj podobną rolę odegrała fizyczna transformacja. Nie wyobrażam sobie grania tej postaci w prostetycznej łysce” stworzonej przez charakteryzację. To nie byłoby to samo.

Bardzo dobrze wspominam pracę przy *Tatuażyscie z Auschwitz*. Produkcja z ogromną odpowiedzialnością podchodziła zarówno do samego tematu, jak i do ludzi, którzy nad nim pracowali. Na planie obecni byli psychologowie z organizacji Solas Mind, z których wsparcia w razie potrzeby mogła korzystać zarówno obsada, jak i ekipa. Ja akurat pracowałam ze swoim terapeutą i bardzo doceniałam to, że produkcja w pełni to respektowała. Jeśli moja sesja wypadła w trakcie dnia zdjęciowego, plan układano tak, żebym mogła spokojnie odbyć ją online, w kamperze. To pokazywało, że dobrostan psychiczny nie był traktowany jako dodatek, ale jako integralna część procesu pracy.

Był z nami także koordynator intymności a jego rola wykraczała daleko poza sceny intymne. W tym serialu nagość pojawia się w kontekście przemocy i odczłowieczenia, dlatego stworzenie aktorom bezpiecznych warunków pracy było niezwykle istotne.

Jeśli chodzi o przygotowanie do roli, miałam dostęp do ogromnej liczby materiałów: świadectw, pamiętników, fotografii, konsultantów historycznych i specjalistów zajmujących się poszczególnymi zagadnieniami. Mogłam zadawać pytania praktycznie na każdy temat. Kiedy przygotowywałam się do finałowych odcinków, dużo czytałam o PTSD u osób, które przeżyły Zagładę. Rozmawiałam również ze specjalistką zajmującą się tym tematem.

Ogromnym przywilejem był też dostęp do archiwum świadectw stworzonego przez Stevena Spielberga. Mogłam oglądać wielogodzinne rozmowy z osobami, które przeżyły Holokaust. Myślę, że właśnie te świadectwa były dla mnie najważniejszym elementem przygotowań. Nic nie zastąpi spotkania z czyjąś prawdziwą historią.

Te nagrania są chyba dostępne w różnych muzeach?

Nie wszystkie. Część jest dostępna jedynie w miejscach związanych z konkretną osobą. Żeby zobaczyć świadectwo Gity, musiałam pojechać do jej rodzinnego miasta na Słowacji. Dopiero tam, w bibliotece, mogłam je obejrzeć. Niektóre nagrania są dostępne na specjalnej platformie VOD, do której trzeba mieć dostęp, a część – jeśli rodziny wyraziły zgodę – można znaleźć także na YouTube. Być może niektóre trafiają również do muzeów czy miejsc pamięci. W każdym razie dostęp do materiałów źródłowych, dokumentów i świadectw był dla mnie bardzo pomocny w budowaniu postaci.

To na pewno daje też duży komfort pracy. A jakie filmy oglądasz prywatnie?

Wiesz co, ja oglądam głównie horrory (śmiech)

Naprawdę?

Tak. Bardzo lubię horrory. Paradoksalnie mnie uspokajają. Mam wrażenie, że na co dzień noszę w sobie dużo napięcia. Moim naturalnym stanem jest fight or flight – oczywiście pracuję nad tym, ale to wciąż stan, który moje ciało zna najlepiej. Kiedy oglądam horror, to napięcie odpuszcza, bo mogę całą uwagę skierować na coś zewnętrznego.

Byłam niedawno na *Obsession* Curry’ego Barkera – 26-letniego reżysera, który wywodzi się z YouTube’a. Film powstał za zaledwie 750 tysięcy dolarów, a zarobił już około 400 milionów. To niesamowity wynik.

Podobnie jest z *Backrooms*. Film stworzył Kane Parsons, który również zaczynał na YouTube. Produkcja także zbliża się do 400 milionów dolarów wpływów. Mam poczucie, że dzieje się dziś coś bardzo ciekawego. Do kina wchodzi zupełnie nowe głośy – bardzo młodzi twórcy, którzy wychowali się w internecie, a dziś realizują filmy dla dużych studiów i osiągają spektakularne sukcesy. To daje ogromną nadzieję i pokazuje, że kino wciąż potrafi się odradzać.

Z drugiej strony jestem też wielką fanką dokumentów. Uwielbiam Wernera Herzoga, więc bardzo czekałam na jego najnowszy film *Sny o słońcach*, który zobaczyłam podczas festiwalu Millennium Docs Against Gravity. Zachwycili mnie także *Kandydaci śmierci* Macieja Cuske i *Closure* Michała Marczaka.

Staram się też być na bieżąco z kinem europejskim. Jestem członkinią Europejskiej Akademii Filmowej, więc bardzo to ułatwia sprawę. Ostatnio widziałam *Ojczyznę* Pawła Pawlikowskiego i zeszłoroczną *Romerię* Carli Simón.

A tę miłość do kina ktoś w tobie zaszczerpił, czy przyszła do ciebie sama?

Chyba moi rodzice. Odkąd pamiętam, oglądaliśmy



razem bardzo różne filmy – od kina popularnego po ambitne kino autorskie. Jednego dnia był Bond, drugiego Bergman. Nikt nie mówił mi, że jedne filmy są ważniejsze od drugih. Po prostu oglądaliśmy wszystko i rozmawialiśmy o tym. Myślę, że właśnie tak zaczęła się moja edukacja filmowa.

Bardzo wcześnie zrozumiałam też, że kino potrafi pomóc ośwoić rzeczy, z którymi trudno poradzić sobie w codziennym życiu. Zwłaszcza kiedy jest się nastolatką i próbuje się zrozumieć siebie, innych i świat. Dzięki bohaterom filmowym mogłam zobaczyć własne emocje z innej perspektywy. To było dla mnie bardzo ważne.

A filmy Toma Forda cię przekonują?

Bardzo. Lubię twórców, którzy mają wyrazisty język wizualny i konsekwentnie budują własny świat. U Toma Forda estetyka nigdy nie jest celem samym w sobie – zawsze opowiada o bohaterach i ich emocjach.

Pytam dlatego, że miałaś okazję pracować przy artystycznym projekcie – krótkim metrażu Marcina Kempskiego. W filmie występujesz obok Jerzego Skolimowskiego i Bartosza Bieleni. Czy możemy już coś więcej powiedzieć? Plakat już krąży w sieci i jest bardzo sugestywny.

Tak, jego estetyka mocno nawiązuje do kina ekspresjonistycznego i stylistyki lat 20. i 30. XX wieku. Taki właśnie był zamysł Marcina. Bardzo cenię jego wyobraźnię i konsekwencję. Od lat z zainteresowaniem obserwuję jego twórczość. Konsekwentnie buduje własny, rozpoznawalny język wizualny – najpierw jako fotograf, później także jako reżyser kampanii high fashion. Pracował między innymi dla Diora, Louis Vuitton i Jean Paula Gaultiera, więc ma ogromne doświadczenie w tworzeniu obrazów. Bardzo byłam ciekawa, jak ten świat przeniesie do kina.

Ten film też będzie high fashion, czy pójdzie w inną stronę?

Trochę tak, trochę nie. Na pewno będzie w nim bardzo dużo wyobraźni Marcina. W jego pracach zawsze pojawia się pewien rodzaj abstrakcji i metafory. Film będzie czarno-biały – tyle mogę na razie powiedzieć. Jest trochę baśnią, trochę...

...satyrą?

Chyba bardziej przypowieścią. W końcu to właśnie w baśniach i mitach odbijają się uniwersalne problemy. Mam poczucie, że ten film też będzie opowiadał o czymś bardzo aktualnym, tylko za pomocą metafory.

Nie widziałam jeszcze ostatecznej wersji. Wiem, że Marcin wciąż montuje film razem z Przemkiem Chruścielewskim. Powstaje też oryginalna muzyka Marcina Maseckiego. Sama jestem bardzo ciekawa efektu.

To była dla mnie naprawdę twórcza praca. Spotkali się tam ludzie z bardzo różnych światów. Za charakteryzację odpowiadają mistrz Waldemar Pokromski i Marianna Yurkiewicz – z którą pracuję od kilkunastu lat i której ufam bezgranicznie; kostiumy przygotowuje Karla Gruszecka, scenografię Anna Szczęsny. Spotykają się tam kino i świat high fashion. Myślę, że może z tego powstać coś naprawdę interesującego.

To ja też jestem bardzo ciekawa. Życzę ci samych takich projektów, z których czerpiesz tyle przyjemności, żeby spełniały się twoje filmowe marzenia. I może kiedyś, żebyś sama mogła stworzyć coś filmowego.

Pracuję nad tym! Rozwijam swój scenariusz. Mam też kilka projektów, które do mnie trafiły i które wspólnie z ich twórcami rozwijamy, próbując doprowadzić je do realizacji. Jest wśród nich trochę kina gatunkowego, trochę horroru, ale też zupełnie inne historie. Na jeden z tych projektów szczególnie czekam i bardzo mnie ekscytuje, ale zdecydowanie za wcześnie, żeby cokolwiek zapeszać.

Słyszałam, że czasem ludzie zakładają, że skoro pracuję za granicą, to już właściwie wyjechałam z Polski. A ja nadal tu mieszkam i bardzo chciałabym częściej pracować właśnie tutaj!

Możliwość pracy na międzynarodowych planach jest dla mnie ogromnie cenna, ale równie bliskie są mi projekty powstające w Polsce. Bardzo cenię twórców, którzy mają własny język i odważnie opowiadają historie, dlatego z przyjemnością chętnie zaangażuję się w takie projekty tu, w Polsce. ■

ENGLISH

ACTING IS AN ART OF MEETING

Karolina Ciesielska: My guest today is Anna Próchniak, one of Poland's most compelling actresses, who has earned recognition not only at home but is also making an increasingly strong mark on the international film scene. You recently returned from the premiere of a major French production. Tell us about the film.

Anna Próchniak: It's *Les Rayons et les Ombres* (Light and Shadow in English), directed by Xavier Giannoli, the filmmaker behind *Lost Illusions*, among other acclaimed works. The cast includes Jean Dujardin, August Diehl, and Nastia Gollubeva-Carax, daughter of Leos Carax, for whom this is her first major film role. I play Lydia Rogers, a Parisian cabaret star and a classic femme fatale.

It's a period drama spanning several decades, though it's primarily set in Paris during the 1940s. It's a nuanced story about collaborators—members of the Parisian elite who cooperated with the Nazis. Giannoli approaches his characters with immense curiosity but also with a sense of unease, avoiding simplistic moral judgments. That makes the film



feel remarkably contemporary, because many of the questions it raises remain surprisingly relevant today.

This isn't my first French production, though. The film that first opened the door to international projects for me was *The Innocents*, a French-Polish co-production directed by Anne Fontaine. That was already twelve years ago... *Le temps passe vite!* Time really flies.

Karolina Ciesielska: So France keeps finding its way back into your life.

Anna Próchniak: It does. *The Innocents* premiered at the Sundance Film Festival, where it competed in the main competition and received wonderful reviews internationally. In Poland, I feel it was welcomed a little more cautiously. Even so, it's a film that's incredibly important to me and one that has come back into my life at different stages of my career. So many people I've met on international productions have mentioned *The Innocents*, which makes me feel as though the story has truly come full circle.

That makes me very happy because it has allowed me to work on productions across Europe, and sometimes even beyond. I deeply value the filmmakers I've had the privilege of meeting over the years, and I'm grateful for every opportunity to work with them. That said, French cinema will always hold a special place in my heart.

Karolina Ciesielska: French cinema continues to enjoy enormous prestige around the world. People often say—though of course not about every film—that French productions can afford to be "luxuriously ambitious." This project certainly seems to fit that description, with a budget exceeding €30 million. That must have influenced your experience on set. What was it like working on such a large-scale production with such elaborate sets?

Anna Próchniak: I've been fortunate enough to work on several large-budget productions, so I know how much of a difference those resources make—not just for the actors, but for the entire crew.

This film had a budget of more than €30 million, which meant we were actually able to shoot in Paris itself. That's far from a given. Paris is an incredibly challenging city from a logistical point of view. There's very little room for technical facilities or trailers, so productions often have to rely on hotels and organise everything quite differently.

We filmed on the Champs-Élysées, as well as inside historic buildings that are normally closed to the public. We also worked in abandoned estates and castles outside Paris. These places have extraordinary histories, and their owners often make them available for film productions because maintaining and restoring them is an enormous undertaking.

Recently, during a discussion at a film festival around *The Duel*, I spoke with Diana Dąbrowska about what production design really means today and how new technologies—including AI—may influence actors' work in the future.

It made me realise how fortunate I've been. I've often had the opportunity to work in authentic locations or in environments recreated with astonishing precision. That gives an actor tremendous freedom. You simply walk into a space like that, and it immediately sparks your imagination. Production designers create a kind of teleportation device for us.

The same goes for costumes. Many of ours were either genuine period pieces or custom-made based on historical designs. It's an extraordinary feeling to wear clothes that aren't pretending to belong to another era—they genuinely belong to that world. They become a powerful tool in building the character.

Karolina Ciesielska: Does working alongside an Academy Award winner like Jean Dujardin—who won the Oscar for *The Artist*—also help shape you as an actress? Do you learn simply by watching someone like him work?

Anna Próchniak: Absolutely.

I still remember watching *The Artist* in the cinema back in 2012. It left a huge impression on me, and I never imagined that one day I'd find myself working alongside Jean.

I've been lucky enough to collaborate with outstanding filmmakers and actors from Europe and the United States, but this experience felt especially meaningful—particularly because I was acting in French. Jean is, of course, French, while French isn't a language I speak fluently. Most of my work is in English or Polish. I studied French for several years, and those basics helped me land the role, but it was still a significant challenge.

Working with Jean was fascinating. I love observing my scene partners, and he's an extraordinary perfectionist. I have a perfectionist streak myself, so I recognised a lot of myself in the way he worked.

I was equally fascinated by the dynamic between him and Xavier Giannoli. It felt as though they barely needed words to communicate. They understood each other's creative process instinctively.

Watching multiple takes was incredibly inspiring. Jean works through pauses and the smallest possible adjustments, yet those subtle differences completely transform a scene. Sometimes all it took was a slightly different look, a tiny shift in rhythm, or the faintest change in facial expression to give a moment an entirely new meaning.

I think he's an exceptionally precise and technically accomplished actor, but all of that technique is ultimately in service of emotion. That's what makes his



craft so impressive.

Beyond that, he's a wonderful scene partner—professional, attentive, intelligent, and blessed with a fantastic sense of humour. It was an experience that taught me a great deal, but it was also simply a genuine pleasure.

Karolina Ciesielska: Let's stay with that production for a moment. People often say—especially about French cinema—that improvisation plays a huge role. Was that true on this set as well?

Anna Próchniak: Very much so.

Xavier actually told me that during our very first conversation, when he offered me the role. I was in Scotland at the time, shooting another project. We spoke over FaceTime, and he was showing me the costume warehouse, mood boards, and all the preparations for the film.

At the end of the call, he said, "I've written the script, but don't get too attached to it because we'll be changing everything as we go."

I have to admit—that terrified me a little. My perfectionist instincts kicked in immediately. It's one thing to improvise in a language you know inside out, and something entirely different to improvise in a language you don't yet speak with complete confidence.

And Xavier really did keep rewriting scenes and encouraging us to improvise. At first, I found it incredibly difficult. Walking onto a new set is always challenging, but in this case there was the added pressure of working in another language.

I worked closely with a language coach, Alice Cavillan, who was also helping August Diehl. It was important for me to master the dialogue first and feel completely confident with the text. But after a while, once I became more comfortable, I started asking whether I could add something, change a line, or simply play with a scene a little more.

It became a process of immersing myself in the language. When you're living in Paris, French surrounds you all day long—in the streets, on set, and in conversations with the crew. Every day I became more accustomed to hearing it, and more of the language came back to me. We filmed for several months, so I had the luxury of growing into it.

Today I'm genuinely proud that I managed to go through that process. But I think there's still something of the dancer in me—I carry this belief that certain things simply have to be earned through work. Not everything comes naturally from the very beginning.

Karolina Ciesielska: That's exactly what I wanted

to ask. It seems that discipline and preparation come more naturally to you than improvisation. But perhaps your ballet background actually became an advantage in this case.

Anna Próchniak: Absolutely. I'd dreamed of playing a dancer for a long time. My character is the star of a Parisian cabaret, and although there aren't many dance scenes in the film, those moments were an absolute joy for me.

On set, I worked alongside performers specializing in cabaret dance and burlesque. They came from very different backgrounds and had very different experiences. One of them, like me, had trained in classical ballet for many years before dedicating herself entirely to burlesque. She told me how profoundly that transition had changed her relationship with her own body.

Karolina Ciesielska: That's an interesting journey. In ballet, the body is highly disciplined, whereas in burlesque it seems almost... liberated.

Anna Próchniak: Exactly. In ballet, the body is subject to extremely strict rules. It has to be perfect, slender, disciplined, and conform to a very specific aesthetic. Burlesque feels like the complete opposite. It's a celebration of femininity, freedom, and diversity. Your body doesn't have to fit any particular ideal—it is enough, and it's beautiful exactly as it is. I found that philosophy incredibly moving.

I also remember that I barely had any time to transition from one production to the next. I came back from Scotland, unpacked one suitcase, packed another, and left for Paris.

We started with dance rehearsals, which turned out to be the perfect way for me to step into this new role.

I always begin building a character through the body. For me, that's the foundation of acting. At the same time, we were having costume fittings, so I had the opportunity to discover the character through movement and costume before anything else. That was an enormous luxury. It allowed me to settle into this new world gradually. I became familiar with my character's physicality before fully finding her voice, and that helped me tremendously.

Karolina Ciesielska: At what point did acting enter your life?

Anna Próchniak: In high school, I joined a journalism and theatre program. We staged productions, worked with prose and poetry, and had classes led by professional theatre actors. In many ways, it was already preparation for drama school entrance exams.

Even so, after graduating from high school, I chose



the Department of Dance Theatre. Dance was still incredibly important to me, but during my studies I started searching for something more. I became fascinated by physical theatre, especially companies from the Netherlands, such as DV8. I was interested in combining different forms of expression—movement, voice, and acting. I didn't want to limit myself to a single discipline. What appealed to me was the idea of the performer as an artist who moves freely between all of them.

Those were incredibly inspiring years. We studied with Barbara Hanicka, watched productions by Krzysztof Warlikowski and Grzegorz Jarzyna, explored Marina Abramović's performances, and discovered the work of many physical theatre artists—many of whom later came to teach workshops at our school. At the same time, we worked with Jan Peszek, Jerzy Stuhr, Jerzy Świąch, and Grzegorz Mielczarek.

It was Jan Peszek's classes that became a turning point for me. What fascinated me about his work was the way he naturally combined different theatrical traditions while placing enormous importance on the body. His years of working in Japan and his fascination with Butoh and physical theatre were clearly reflected in his approach, as they were in his monodramas based on the texts of Bogusław Schaeffer.

I was captivated by the idea that, in his understanding of acting, the body is just as important an instrument as language. He never confined himself to a single definition of what an actor should be. He showed us that you can draw from many disciplines and create your own artistic language.

That's when I thought, "Maybe I should apply to film school after all."

I was accepted directly into the second year of the acting program at the Łódź Film School. The beginning wasn't easy because I joined a class that had already spent a year together, but very quickly I realised I'd made the right decision.

Karolina Ciesielska: It sounds like a dream journey.

Anna Próchniak: It does, but it's also a journey that requires listening carefully—to your intuition and to what's happening around you. You have to recognise opportunities when they appear and have the courage to embrace them. So many important things in my life happened simply because I said yes at the right moment.

Karolina Ciesielska: Although, from what I know, you almost didn't take your very first opportunity. Filip Marczewski practically persuaded you to audition for *Shameless*.

Anna Próchniak: That's exactly what happened.

I'd only just started at film school, and at the time students weren't really allowed to appear in films or television during the first years of their studies. From what I understand, schools are much more flexible about that today because everyone knows that acting can't be learned solely in a classroom.

I remember sitting in the hallway between classes while auditions for Filip Marczewski's debut feature *Shameless* were taking place next door. Filip came out of the room several times before finally asking if I'd like to audition.

I told him I probably shouldn't because I was only in my second year.

He simply replied, "Come in. Let's see what happens."

So I did.

Later I was invited to the next round of auditions in Warsaw, and eventually I got the role. For me, it was an important confirmation that changing schools had been the right decision.

Not long afterwards came the auditions for Jan Komasa's *Warsaw '44*. After several months of screen tests spread across multiple stages, I was cast in the film. In the end, however, the production itself didn't begin until two years later.

Karolina Ciesielska: Originally, you were supposed to play a different character.

Anna Próchniak: Yes. At first, I was cast as Biedronka, and I'd already started preparing for the role. I lived with that script for a very long time. During that period, I turned down several other offers because I was committed to the project.

Then we found out filming was being postponed by a year.

A year later, exactly the same thing happened again.

In the meantime, the cast changed, the screenplay evolved, and eventually Jan offered me the role of Kama instead.

Looking back now, I think that's exactly how it was meant to happen. Sometimes you simply have to trust the process.

Karolina Ciesielska: I feel like *Warsaw '44* was the film that made you widely recognizable in Poland. Do you think of yourself as a well-known actress?

Anna Próchniak: Honestly, I don't think about it very often.

What surprises me more is being recognised in London. Every now and then someone stops me on





Adam Małysz. You have to go!" (laughs)

Karolina Ciesielska: Today, those situations happen more often, but sometimes it still feels like a once-in-a-lifetime opportunity, and it's worth taking.

Anna Próchniak: Absolutely.

Everything that happened afterwards unfolded very naturally. One experience simply led to the next.

I remember that during the casting process for *The Tattooist of Auschwitz*, casting director Kelly Valentine Hendry asked to see my scenes from *The Innocents*. In the end, she didn't just receive the scenes—she watched the entire film.

After one of our Zoom meetings, she told me she'd only intended to watch my scenes, but the film captivated her so completely that she couldn't stop watching.

After *The Innocents*, more international opportunities started appearing. Not all of them worked out. I spent months preparing for the lead role in a Czech production, but in the end our schedules couldn't be aligned.

Later, I appeared in the independent Northern Irish film *Bad Day for the Cut*, shot in Belfast, where Józek Pawłowski and I played brother and sister. To our surprise, that film also premiered at Sundance just a year after *The Innocents*.

Karolina Ciesielska: And then, of course, came *The Tattooist of Auschwitz*.

Anna Próchniak: Yes, but that was many years later.

In between, I played the female lead in the Icelandic film *Vultures*. One day, the director Þórkur Sigþórsson's London-based agent came to visit the set. We started talking about *The Innocents*, the Polish *School of Posters*, and *Kieślowski*.

At one point she asked whether I'd ever considered having an agent in London. She told me a colleague of hers was looking for new talent and fresh faces. We arranged a meeting at Independent, and not long afterwards I signed with them.

Again, everything happened very organically.

Then came the Latvian-Belgian film *Oleg*, which premiered at Cannes, followed by several television series I shot in the UK.

The Tattooist of Auschwitz came much later. We filmed it in 2023.

It certainly wasn't what people call an overnight success. I feel I'd been working towards that moment for many years—with every project, through

consistency, determination, and one step after another.

Karolina Ciesielska: But it happened. It was a hugely important role, not only artistically but also for your international career. The series received enormous attention, had a major promotional campaign, and became a real success. You were also nominated for a BAFTA Scotland Award alongside Tilda Swinton and Saoirse Ronan. Simply finding yourself in that company feels like a victory.

Anna Próchniak: Absolutely.

I saw it as another important confirmation—much like when I transferred to film school and landed my first professional role in *Shameless*.

As your career develops, though, the path becomes increasingly demanding. You have to make difficult, sometimes uncompromising decisions. Sometimes that means turning down projects because they don't align with the direction you want your career to take. Sometimes it also means accepting longer periods without work.

Karolina Ciesielska: I imagine making those decisions isn't easy.

Anna Próchniak: Sometimes it is, and sometimes it isn't.

Many of my decisions have been entirely intuitive because I felt very strongly that this is right or this isn't for me. But there are also moments when you inevitably begin asking yourself whether you've chosen the right path.

That's exactly why the BAFTA Scotland nomination meant so much to me. Not because it suddenly changed everything, but because, for a moment, it quieted that inner voice that occasionally asks, "Are you really heading in the right direction? Does any of this actually make sense?"

For me, it was a valuable reminder that it's worth trusting your own choices.

Karolina Ciesielska: *The Tattooist of Auschwitz* clearly became a defining project for you. Beyond the critical recognition and the success, it was also embraced by audiences. The series received huge international promotion, so I'm sure it will continue opening new doors. At the same time, it must have been an incredibly demanding role—not only emotionally, but also because you shaved your head for it. What was that experience like?

Anna Próchniak: Honestly, I think hair is just hair.

Of course, it changes the way you look, but in this case the decision had a much deeper meaning. It was a radical choice rooted in the reality of the story,



and it helped me get much closer to the character. As I mentioned before, I always begin building a role through the body. We've already talked about sets and costumes—they help an actor believe in the world they're stepping into. Here, the physical transformation served exactly the same purpose.

I simply can't imagine playing this character wearing a prosthetic bald cap created by the makeup department. It wouldn't have felt the same.

I have incredibly fond memories of working on *The Tattooist of Auschwitz*. The production approached both the subject matter and everyone involved with enormous responsibility.

Psychologists from Solas Mind were present throughout filming, and both the cast and crew could seek their support whenever they needed it. I was already working with my own therapist, and I greatly appreciated that the production fully respected that. If one of my therapy sessions fell during a shooting day, the schedule would be adjusted so I could have the session privately online from my trailer.

That showed me that mental wellbeing wasn't treated as an afterthought—it was considered an integral part of the creative process.

We also had an intimacy coordinator, whose role extended far beyond intimate scenes. In this series, nudity appears in the context of violence and dehumanisation, so creating a safe working environment for the actors was absolutely essential.

As for preparing for the role, I had access to an extraordinary amount of material: survivor testimonies, diaries, photographs, historical consultants, and specialists in various fields. I could ask almost any question I needed.

When preparing for the final episodes, I read extensively about PTSD among Holocaust survivors and also spoke with an expert who specialises in that field.

One of the greatest privileges was being given access to Steven Spielberg's archive of survivor testimonies. I was able to watch hours of interviews with people who had survived the Holocaust.

I think those testimonies became the single most important part of my preparation. Nothing can replace encountering someone's real story.

Karolina Ciesielska: Those recordings are available in museums, aren't they?

Anna Próchniak: Not all of them.

Some can only be viewed in places connected to the individual survivor. To watch Gita's testimony, I had

to travel to her hometown in Slovakia. Only there, in the local library, was I able to access it.

Some recordings are available through a dedicated streaming platform that requires special access. Others—provided the families have given permission—can also be found on YouTube. Some may also be available in museums or memorial institutions.

In any case, having access to original documents, archival materials, and survivor testimonies was invaluable in helping me build the character.

Karolina Ciesielska: That must also give you a tremendous sense of confidence in your preparation. And on a lighter note—what do you watch in your free time?

Anna Próchniak: (laughs) Honestly? Mostly horror films.

Karolina Ciesielska: Really?

Anna Próchniak: I do. I love horror films. Paradoxically, they calm me down. I feel like I carry a lot of tension in everyday life. My body's default setting is still fight or flight—I'm working on that, of course, but it's a state my body knows all too well. When I watch a horror film, that tension somehow disappears because my full attention is focused on something outside of myself.

I recently saw *Obsession* by Curry Barker, a 26-year-old director who started out on YouTube. The film was made for just \$750,000 and has already grossed around \$400 million. That's an extraordinary achievement.

The same is true of *Backrooms*, directed by Kane Parsons, who also began his career on YouTube. That production is also approaching \$400 million at the box office. I think we're witnessing something really exciting. Entirely new voices are entering cinema—very young filmmakers who grew up on the internet and are now making films for major studios while achieving remarkable success. It gives me a great deal of hope and reminds me that cinema is constantly reinventing itself.

On the other hand, I'm also a huge documentary fan. I absolutely love Werner Herzog, so I was eagerly awaiting his latest film, *Dreams of Elephants*, which I saw at the Millennium Docs Against Gravity Festival. I was equally impressed by *Candidates for Death* by Maciej Cuske and *Closure* by Michał Marczak.

I also try to stay up to date with European cinema. I'm a member of the European Film Academy, which certainly makes that easier. Most recently, I watched *Fatherland* by Paweł Pawlikowski and *Carla Simón's* *Romeria* from last year.



POWIEŚĆ

MAŁGORZATY JÓŻWIK

MIASTA

CZYLI ROMANS
WSZECH CZASÓW

PRZECZYTAJ I POCZUJ EMOCJE,
ZANIM TRAFIĄ NA EKRAN!

Karolina Ciesielska: Did someone inspire your love of cinema, or did it develop naturally?

Anna Próchniak: I think it came from my parents. Ever since I can remember, we watched all kinds of films together—from mainstream entertainment to auteur cinema. One day it would be James Bond, the next Ingmar Bergman. No one ever told me that one type of film was more important than another. We simply watched everything and talked about it afterwards.

I think that's really where my film education began.

I also realised quite early on that cinema can help us process things that are difficult to deal with in everyday life. Especially when you're a teenager trying to understand yourself, other people, and the world around you. Through film characters, I was able to see my own emotions from a completely different perspective. That meant a great deal to me.

Karolina Ciesielska: What about Tom Ford's films? Do they resonate with you?

Anna Próchniak: Very much so. I admire filmmakers who have a distinctive visual language and consistently build their own cinematic worlds. With Tom Ford, aesthetics are never an end in themselves—they always serve the characters and their emotions.

Karolina Ciesielska: I ask because you recently worked on an artistic short film directed by Marcin Kempski. You appear alongside Jerzy Skolimowski and Bartosz Bielenia. Can you tell us anything more about it? The poster is already circulating online, and it's incredibly striking.

Anna Próchniak: Yes, its visual style is heavily inspired by German Expressionist cinema and the aesthetics of the 1920s and 1930s. That was Marcin's intention from the very beginning.

I have enormous respect for his imagination and artistic consistency. I've followed his work with great interest for years. He has steadily developed a very distinctive visual language—first as a photographer and later as a director of high-fashion campaigns. He's worked with brands such as Dior, Louis Vuitton, and Jean Paul Gaultier, so he has tremendous experience creating visual worlds. I was very curious to see how he would translate that into cinema.

Karolina Ciesielska: Will the film have that same high-fashion feel, or is it heading in a different direction?

Anna Próchniak: Both yes and no.

It will certainly contain a great deal of Marcin's

imagination. His work always carries a sense of abstraction and metaphor. The film will be shot in black and white—that's about all I can reveal for now. It's partly a fairy tale, partly...

Karolina Ciesielska: ...a satire?

Anna Próchniak: I'd say it's closer to a parable.

After all, fairy tales and myths are where universal human questions are often reflected. I feel this film will also explore something deeply relevant to today's world, only through metaphor rather than direct realism.

I haven't seen the final cut yet. I know Marcin is still editing the film together with Przemek Chruścielewski. Marcin Masecki is also composing an original score. I'm genuinely excited to see the finished result myself.

It was an incredibly creative experience. People from very different artistic backgrounds came together on this project. The makeup department is led by the legendary Waldemar Pokromski and Marianna Yurkiewicz, whom I've worked with for over a decade and trust completely. The costumes are designed by Karla Gruszecka, and the production design is by Anna Szczęsny.

It's a meeting point between cinema and the world of high fashion, and I think the result could be something truly unique.

Karolina Ciesielska: I'm looking forward to seeing it as well. I wish you many more projects that bring you so much joy, and I hope all your cinematic dreams come true. Perhaps one day you'll create a film of your own.

Anna Próchniak: I'm already working on that! I'm developing my own screenplay. I also have several projects that have come my way, and I'm working together with their creators to help bring them to life. Among them are genre films, some horror projects, and several completely different kinds of stories. There's one project in particular that I'm incredibly excited about, but it's definitely too early to say anything more—I don't want to jinx it.

I've also heard people assume that because I work abroad, I've essentially moved away from Poland. But I still live here, and I'd really love to work here more often.

Working on international productions is something I deeply value, but projects made in Poland are just as close to my heart. I have enormous respect for filmmakers with a distinctive artistic voice who tell bold, original stories, and I'd be delighted to be part of more projects like that here in Poland. ■





A full-page photograph of Paula Karpowicz sitting on a modern staircase at night. She is wearing a white button-down shirt, light blue jeans with side slits, and black high-heeled sandals. She has long, wavy blonde hair and is looking directly at the camera. The staircase has glass railings and is illuminated by warm, ambient lights.

PAULA KARPOWICZ

TRZEBA SŁUCHAĆ SIEBIE I SWOJEGO SERCA

TEKST ULA GRABOWSKA
ZDJĘCIA PAULINA CZYZEWSKA

Urszula Grabowska: Witam w nowym sezonie In-fluflow! Moim pierwszym gościem jest Paula Karpowicz-Zimecka. Na Instagramie obserwuje Cię ponad 400 tysięcy osób, a na TikToku masz ponad dwa miliony polubień i 125 tysięcy obserwujących. Na ile odczuwasz tę popularność, kiedy idziesz ulicą?

Paula Karpowicz-Zimecka: Od naszego ostatniego spotkania naprawdę odczuwam tę rozpoznawalność dużo bardziej. Myślę, że wpływ mają na to rolki, które zaczęłam nagrywać z przyjaciółką. Tworzę ich teraz więcej i widzę, że faktycznie zwiększają moją rozpoznawalność.

Urszula Grabowska: A ile razy dziennie ktoś podchodzi do Ciebie na ulicy i mówi, że zna cię z social mediów?

Paula Karpowicz-Zimecka: Nie jest tak, że codziennie, bez przesady. Ale zdarza się. Często widzę, że ludzie mnie rozpoznają, tylko bardzo się wstydzą. Patrzą z taką niepewnością: „To ona czy nie ona?”. Czasami ktoś podejdzie, ale widać, że bardzo się stresuje. Ja zawsze apeluję: podchodźcie, nie bójcie się. Naprawdę nie ma problemu. Ludzie często boją się poprosić o zdjęcie, bo nie wiedzą, jak ktoś zareaguje, a ja uważam, że po prostu warto śmiało podejść.

Urszula Grabowska: Przygotowując się do naszej rozmowy, zastanawiałam się, na ile bycie influencerką pomogło ci w karierze muzycznej, a na ile kariera muzyczna pomogła Ci w byciu influencerką.

Paula Karpowicz-Zimecka: Sama się nad tym zastanawiam. Tak naprawdę moim głównym zawodem nie jest bycie influencerką – to bardziej hobby. Bardzo polubiłam świat Instagrama i social mediów, dlatego myślę, że jedno z drugim świetnie się łączy. Widzę, że treści z koncertów ludzie bardzo chętnie oglądają. Z drugiej strony obserwuje mnie też mnóstwo osób, które w ogóle nie wiedzą, że śpiewam. Ostatnio dodałam przypięty post z rozpiską naszych koncertów i podszedł do mnie pewien pan, który powiedział, że gdyby nie ten post, nawet nie wiedziałby, czym się zajmuję. Fajne jest to, że jedni obserwują mnie ze względu na to, co pokazuję na Instagramie, a inni ze względu na muzykę. To bardzo dobrze się uzupełnia. Uważam też, że w dzisiejszych czasach obecność w sieci bardzo pomaga.

Urszula Grabowska: Czyli nie było tak, że jedno przyszło przed drugim?

Paula Karpowicz-Zimecka: Na pewno pierwsze było śpiewanie. Zanim zaczęłam bardziej działać na Instagramie, byłam już w zespole i prowadziłam konto w mediach społecznościowych. Wrzucałam posty, ale wtedy rolki nie były jeszcze tak popularne jak dziś. Publikowałam trochę na zasadzie: wyjechałam, więc dodam zdjęcie. Zagrałam koncert, więc wrzucę fotografię z koncertu. Wszystko było dość spontaniczne. Teraz moje konto jest dużo

bardziej przemyślane. Współpracuję też z kilkoma osobami, które pomagają mi planować publikacje i doradzają, co warto pokazywać. Widzę, że dzięki temu wszystko działa znacznie lepiej.

Urszula Grabowska: Ile osób pracuje na sukces jednego posta?

Paula Karpowicz-Zimecka: To zależy. Jeśli tworzę post sama albo z przyjaciółką, to nikt nam nie pomaga. Są rolki, które zapisuję sobie jako inspiracje i później sama je realizuję. Natomiast przy postach reklamowych czy współpracach wygląda to inaczej. Jest osoba, która nagrywa materiał, powstaje scenariusz, przygotowywane są zdjęcia na okładkę. Wszystko jest bardziej profesjonalnie zaplanowane. Czasami uczestniczy w tym także agencja i przedstawiciele firm. Zabawne rolki tworzę natomiast sama i sama je montuję.

Urszula Grabowska: A z twojego doświadczenia – ile można zarobić na social mediach?

Paula Karpowicz-Zimecka: Kiedyś nie wierzyłam, że można żyć z Instagrama, a okazuje się, że można. Ja może jeszcze nie jestem na etapie, na którym mogłabym utrzymać się wyłącznie z tego, ale myślę, że jestem na dobrej drodze. Współprac jest sporo, ale jestem bardzo ambitna. Myślę, że wiele osób na moim miejscu byłoby już zadowolonych, a ja mierzę wyżej. Mam swoje cele i cały czas chcę więcej. Nie chodzi tylko o finanse. Bardzo chciałabym jeszcze rozwinąć swoje konto. Mam taki cel, żeby dobić do pół miliona obserwujących na Instagramie. Pewnie zajmie mi to jeszcze kilka lat, ale to liczba, którą chciałabym osiągnąć. Jeśli chodzi o współpracę, widzę też, że wiele osób kupuje obserwujących.

Urszula Grabowska: Znasz takie osoby?

Paula Karpowicz-Zimecka: Tak – firmy bardzo dokładnie to weryfikują. Wrzucają profile do odpowiednich narzędzi i sprawdzają, ilu jest realnych odbiorców, a ile sztucznie napompowanych kont. Dlatego wcale nie jest tak, że ktoś z dużą liczbą obserwujących automatycznie dostanie wysoką stawkę za współpracę. Firmy są dziś dużo bardziej świadome. Kiedyś łatwiej było zdobyć współpracę. Teraz jest trudniej – może nie tyle o same współpracy, ile o naprawdę dobre stawki. Bartery są dość łatwe do zdobycia, ale jeśli komuś zależy na atrakcyjnym wynagrodzeniu, firmy bardzo dokładnie analizują statystyki i zasięgi.

Urszula Grabowska: Jakie są trzy rzeczy, które najczęściej podlegają weryfikacji, kiedy zgłasza się do ciebie firma i chce, żebyś zareklamowała jej produkt?

Paula Karpowicz-Zimecka: Przede wszystkim demografia. Wszystko zależy od produktu. Jeżeli reklamujemy branżę beauty, to firmy sprawdzają, kto mnie obserwuje. Gdybym miała głównie mężczyzn wśród odbiorców, taka współpraca niekoniecznie miałaby sens. W moim przypadku ponad 75 procent



obserwujących stanowią kobiety, więc do reklam produktów beauty jestem całkiem dobrą osobą.

Oprócz demografii wysyła się też podstawowe statystyki z ostatnich trzech miesięcy. Zazwyczaj są to trzy-cztery screeny. Czasami konkretna firma prosi jeszcze o statystyki wybranego posta, ale najczęściej wystarczają te podstawowe.

Urszula Grabowska: A co jest codziennością w twojej branży, której nie widać i z której my, jako odbiorcy, nie zdajemy sobie sprawy?

Paula Karpowicz-Zimecka: Bardzo dużo osób mówi: „No dobrze, ale co to za praca? Nagrać rolkę?”. Jasne, nie twierdę, że wolałabym kopać rowy, ale wbrew pozorom to naprawdę nie jest łatwa robota. Zazwyczaj raz w tygodniu, czasem raz na dwa tygodnie – w zależności od liczby współprac – mam cały dzień przeznaczony na nagrywki. To praca od rana do wieczora: nagrywanie, montowanie, cięcie, poprawianie i powtarzanie ujęć. Trochę jak przy teledysku albo na planie filmowym. To nie wygląda tak, że pokażesz produkt, wrzucisz materiał i dostaniesz za niego wynagrodzenie. Bardzo często firmy odrzucają przygotowany materiał. Dostajesz konkretne wytyczne, do których trzeba się dostosować. To naprawdę nie jest proste. Trzeba być kreatywnym, a czasami tych pomysłów zwyczajnie już brakuje. Sama się na tym łąpię. Kiedy po raz setny mam pokazać fajny krem, który naprawdę działa i który szczerze polecam, czasami trudno wymyślić coś nowego.

Jest jeszcze presja wyświetleń. Sama widzę, że jeśli coś nie pójdzie tak dobrze, jak oczekiwałam, bardzo szybko się demotywuję. A przecież nie każda rolka musi być wiralem. Nie każda musi mieć milion wyświetleń. Czasami po prostu trzeba publikować i robić swoje. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Jeśli jedna rolka osiągnie milion wyświetleń, później nie chcesz już schodzić poniżej pewnego poziomu. Nagle patrzysz na rolkę, która ma 150 albo 200 tysięcy wyświetleń i myślisz: „Kurczę, nie poszło”. A potem zaglądasz na profile podobnych twórców i widzisz, że oni marzą o takich wynikach. Wtedy sama sobie mówię: „Bez przesady, nie narzekaj”. Mimo wszystko łąpię się na tym, że jeśli coś nie przekroczy stu tysięcy wyświetleń, od razu pojawiają się myśli: „Może jednak się do tego nie nadaję”.

Urszula Grabowska: Ale chyba weszłaś na ten poziom myślenia dopiero wtedy, kiedy zaczęłaś nagrywać rolki z Edytą Folwarską o relacjach damsko-męskich. Skąd wziął się pomysł na wasz duet? I czy czasami nie zaczyna już brakować tematów?

Paula Karpowicz-Zimecka: Czasami brakuje tematów, ale właśnie to jest śmieszne, bo większość naszych pomysłów bierze się z życia. Siedzimy sobie, rozmawiamy i nagle wydarza się jakaś sytuacja. Ostatnio zadzwonił do nas jakiś obcy pan. Rozłączyliśmy się i zaczęliśmy komentować: „Jaki dziwny gość”. Nie po to, żeby go obrażać, ty-

lko zastanawialiśmy się nad całą sytuacją. I nagle padło: „To jest świetny pomysł na rolkę”. Od razu ją nagraliśmy. Bardzo często to życie pisze nam scenariusze. Oczywiście szukamy też inspiracji w internecie, sprawdzamy, co stało się wiralem, i wysyłamy sobie nawzajem różne pomysły. To nie jest przypadkowe. Przygotowujemy scenariusze, rozpisujemy wszystko, co mamy nagrać. Każda z nas przyjeżdża z notatnikiem pełnym pomysłów i linków.

Planujemy też stylizacje. Edyta nauczyła mnie, że one naprawdę mają znaczenie. Nawet jeśli rolka jest świetna, odpowiedni ubiór, makijaż i fryzura potrafią jeszcze bardziej podkreślić efekt. Ludzie zwracają uwagę na estetykę materiałów. Pomysł na nasze wspólne nagrywanie powstał zupełnie przypadkiem. Pojechaliśmy razem na majówkę. Był z nami też Hubert Ronnie Ferrari, który grał ze mną koncert w Giżycku. Zadzwoniłam do niego i powiedziałam: „Przyjedź do nas, posiedzimy”. Edyta rzuciła wtedy: „Dawaj, nagramy rolkę”. To była ta kultowa rolka o porwaniu. Poszła naprawdę świetnie. Potem ludzie zaczęli pisać na TikToku, że czekają na dalszy ciąg. I tak to się zaczęło – zupełnie nieplanowanie.

Bardzo długo chciałam zacząć nagrywać z kimś rolki, ale nie miałam odpowiedniej osoby. Pisałam do różnych influencerów i tiktokerów, dogadywałam się, ale... trzeba mieć z tą osobą naprawdę dobre flow. Z Edytą przyjaźnię się już prawie dziesięć lat. To, co nagrywamy, jest bardzo spontaniczne i właśnie dlatego działa. Oczywiście mamy scenariusz, ale bardzo często wplatamy do niego nasze własne teksty, których używamy na co dzień. Myślę, że ludziom podoba się to, że jesteśmy naturalne i nic nie brzmi wyuczenie. Czasami Edyta rzuci jakiś swój charakterystyczny tekst i od razu wiemy, że musi zostać. Później zaczęłam też nagrywać sama i to również zaczęło dobrze działać. Może dlatego, że konto już się rozpędziło. Zresztą tego samego uczę Edytę. Ona też czasami mówi: „Nie poszło”. A ja odpowiadam: „Poszło. To, że nie ma miliona wyświetleń, nie znaczy, że materiał jest słaby”. Naprawdę widzę, że im większą presję nakładamy na siebie, tym gorzej nam to wychodzi.

Urszula Grabowska: Oprócz pułapki związanej z wyświetleniami jest jeszcze pułapka oceniania. Mówiłaś kiedyś, że byłaś zaskoczona, jak bardzo w tej branży jesteśmy oceniani na każdym poziomie. Czy już się z tego wyleczyłaś w pełni?

Paula Karpowicz-Zimecka: Czy w pełni? Nie wiem. Ale na pewno trzeba się tego nauczyć. Ludziom naprawdę nie brakuje pomysłów. Czasami czytam komentarze i teorie, które powstają na podstawie rolek, i jestem w szoku. Dzisiaj już bardziej mnie to bawi. Był moment, kiedy było mi przykro i bardzo to przeżywałam. Teraz jest mi dużo łatwiej. Mam wrażenie, że od naszego ostatniego spotkania zrobiłam pod tym względem ogromny krok do przodu. Mentalnie jestem już zupełnie gdzie indziej i nauczyłam się mniej tym przejmować. Oczywiście zdarzają się osoby, które potrafią mnie naprawdę



zdenierwować.

Urszula Grabowska: Odpowiadasz im?

Paula Karpowicz-Zimecka: Czasami tak. Bywa, że ktoś mnie tak sprowokuje, że odpiszę. Ale później, po kilku godzinach, myślę sobie: „Po co?”. Z drugiej strony uważam, że niektórym czasami warto odpowiedzieć. Zdarzyło się już wiele razy, że ktoś później mnie przeprosił i przyznał, że przesadził.

Ula Grabowska: Naprawdę cię przepraszają?

Paula Karpowicz-Zimecka: Tak, i to wielokrotnie. Piszą, że mogli źle zabrznieć albo że faktycznie mogli sprawić mi przykrość. Wtedy myślę sobie, że może jednak czasami warto próbować tych ludzi czegoś nauczyć. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni balans. Na pewno nie odpowiadać w nieprzyjemny sposób. Lepiej zachować spokój i kulturę. Widzę też, że kiedy podchodzę do takich osób bardziej psychologicznie, działa to dużo lepiej, niż gdybym odpisała im złośliwie. Ostatnio napisałam jednej pani po prostu po ludzku, kobieta do kobiety. Napisałam, że jest mi przykro czytać takie komentarze i że nawet jeśli chciała mi coś przekazać, to czasami lepiej zostawić to dla siebie. Mnie byłoby milej, a ona nie narażałaby się na publiczną krytykę, bo ludzie bardzo stanęli wtedy w mojej obronie.

Urszula Grabowska: To było o wyglądzie?

Paula Karpowicz-Zimecka: Już nawet nie pamiętam dokładnie, czego dotyczył ten komentarz. Chyba coś o moim wyglądzie – jakieś obraźliwe teksty. Naprawdę czasami myślę sobie: po co? Robisz coś dla ludzi, tworzysz dla nich, a potem jedna kobieta pisze takie rzeczy drugiej. Ta pani faktycznie odpisała mi, że mam rację i że mogło mi być przykro. Pomyślałam wtedy: „Alleluja”. Jeszcze nie tracę wiary w ludzi, bo naprawdę bywają momenty, kiedy takie komentarze są bardzo demotywuujące.

Urszula Grabowska: Jak twój mąż odbiera te wszystkie rolki?

Paula Karpowicz-Zimecka: Jest bardzo wspierający. Naprawdę bardzo. Oczywiście, jeśli jakaś rolka jest słabsza, potrafi powiedzieć: „Eee, taka sobie”.

Urszula Grabowska: Czyli jednak potrafi cię skrytykować? (śmiech)

Paula Karpowicz-Zimecka: Pewnie, że tak. (śmiech) Patrzy na to z boku i potrafi obiektywnie ocenić materiał. Nigdy mnie nie hejtuje. Wręcz przeciwnie – bardzo mnie wspiera. Często, kiedy jakaś rolka świetnie pójdzie, wysyła mi wiadomość: „Wow, zobacz! Trzy miliony, cztery miliony wyświetleń!”. Naprawdę bardzo mnie wspiera.

Urszula Grabowska: A jaki jest wasz sposób na budowanie relacji, skoro tak często nie ma cię w

domu? Ustaliłyśmy już, że zarówno branża muzyczna, jak i influencerska są bardzo wymagające i zostawiają niewiele czasu na wspólne życie.

Paula Karpowicz-Zimecka: U nas jest o tyle fajnie, że oboje jesteśmy w tej samej branży. Zawsze mówiłam, że będę musiała być z kimś, kto rozumie taki tryb życia, bo inaczej byłoby bardzo trudno. Kiedy mnie nie ma, jego też zazwyczaj nie ma. Kiedy ja jestem w domu, on również jest. Grzesiek na co dzień jeździ z MiłymPanem, jest jego menedżerem i zajmuje się też naszym zespołem. To ma swoje plusy. W tygodniu spędzamy razem bardzo dużo czasu, a w weekendy najczęściej pracujemy i jesteśmy w rozjazdach. Dzięki temu mamy też okazję za sobą zatęsknić. Oczywiście teraz zdarza się, że mam więcej wyjazdów, wywiadów czy innych obowiązków, ale naprawdę nie narzekamy. Nadal spędzamy ze sobą bardzo dużo czasu.

Urszula Grabowska: A co najbardziej krzywdzi waszą branżę? Disco polo przez lata było różnie postrzegane. Był moment, kiedy wszyscy mówili: „Disco polo? Absolutnie nie”. Potem przysła fala popularności, później znów krytyki. Jak Ty dziś patrzysz na tę branżę? Jaki jest największy mit na jej temat?

Paula Karpowicz-Zimecka: Trochę odbiegnę od pytania, ale mam wrażenie, że w całej branży coraz bardziej widać wyścig szczurów. Naprawdę nie wiem, co się dzieje. Kiedyś nie było tego aż tak mocno. Ludzie bardziej się wspierali i sobie pomagali. Dzisiaj na palcach jednej ręki mogę policzyć osoby z branży, którym naprawdę ufam. Takie, do których mogę zadzwonić, zwierzyć się i powiedzieć, co mi leży na sercu. Mam wrażenie, że wokół jest coraz więcej fałszu, zazdrości i nieustannego gonienia za sukcesem. Najgorsze jest to, że kiedy komus coś się uda, inni często nie potrafią się z tego cieszyć. A przecież można powiedzieć: „Kurczę, ale mu się udało. Trafił na kartę »Na czasie«. Super, że znowu będzie głośno o disco polo”. Ja właśnie tak reaguję. Kiedy komus z naszej branży dobrze pójdzie, pokazuję to mężowi i mówię: „Zobacz, ale świetnie!”. Są artyści, którzy bardzo długo nie byli na karcie „Na czasie”, a kiedy w końcu się na niej pojawiają, naprawdę się z tego cieszą. Myślę sobie, że muszą być szczęśliwi, że znowu znaleźli się wysoko i mogą poczuć smak sukcesu. Naprawdę nie wiem, skąd bierze się tyle zazdrości. Ostatnio mam wrażenie, że dzieje się u nas coś niedobrego.

Urszula Grabowska: A jaki jest jeszcze największy mit na temat waszej branży, oprócz tej zazdrości?

Paula Karpowicz-Zimecka: Myślę, że bardzo często spotykam się z przekonaniem, że jesteśmy leniwi. A prawda jest taka, że pracujemy naprawdę bardzo ciężko. Ludzie myślą: „Zagrają koncert, wezmą pieniądze i jadą dalej”. Tymczasem to bardzo wyczerpująca praca. W sezonie zazwyczaj jestem poza domem od czwartku do poniedziałku. Pokonujemy





tysiące kilometrów busem. Przyplacam to też zdrowiem. Mój kręgosłup jest już w tragicznym stanie. Ostatnio nawet żartowałam, że szukam nowego kręgosłupa – kupię w dobrej cenie. (śmiech) To chyba największy mit – że disco polo to łatwe i szybkie pieniądze. To nieprawda. Naprawdę bardzo dużo pracujemy. Ogrom pracy wkładamy w teledyski, muzykę i teksty. Może komuś wydaje się, że nasze teksty są proste, ale właśnie w tej prostocie tkwi największa trudność. Bardzo długo nad nimi pracujemy, żeby były chwytliwe, dwuznaczne i zapadały w pamięć. Ja akurat ostatnio mam taki moment, że zupełnie brakuje mi pomysłów na teksty. Dlatego zawsze będę broniła naszej branży, bo naprawdę często spotykam się z opinią, że to łatwa praca i szybkie pieniądze, a rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej.

Urszula Grabowska: Czy jest jakaś informacja, którą nigdy nie podzielisz się z odbiorcami?

Paula Karpowicz-Zimecka: Jest. Nawet niejedna.

Urszula Grabowska: Czyli jednak nie wszystko jest na sprzedaż na Instagramie?

Paula Karpowicz-Zimecka: Absolutnie nie. Widzę wiele profili, na których pokazuje się każdą emocję, płacz i dramat...

Urszula Grabowska: Takie treści generują większe zasięgi.

Paula Karpowicz-Zimecka: To prawda. Ja, kiedy mam trudniejszy moment, zauważam, że fani, którzy znają mnie już lepiej, potrafią to wychwycić. Widzą, że coś jest nie tak. Ale nie jestem osobą, która pokazuje publicznie wszystkie swoje dramaty czy płacze przed kamerą. Są rzeczy, o których nigdy nie opowiem.

Urszula Grabowska: Czyli jest u ciebie wyraźna granica i nie wszystko robisz dla zasięgów?

Paula Karpowicz-Zimecka: Jest. Sama czasami oglądam internetowe dramaty i wiem, że często są tworzone pod zasięgi. Miałam nawet propozycję, żeby uczestniczyć w kontrolowanych konfliktach albo stworzyć kontrowersje. Tylko pytanie, czy jest mi to naprawdę potrzebne wizerunkowo. Robię swoje i jest dobrze. A jeśli kiedyś będę chciała zrobić jakąś dramę, to wyłącznie na własnych zasadach. (śmiech)

Urszula Grabowska: Telewizja bardzo pragnie influencerów. Dlaczego więc nigdy nie pojawiłaś się w żadnym reality show?

Paula Karpowicz-Zimecka: Bo wiele z tych programów po prostu do mnie nie pasuje. Propozycji było naprawdę sporo, ale je odrzuciliśmy. Zawsze konsultuję je z najbliższymi i z osobami, które zajmują się moim wizerunkiem. Po prostu nie jestem przekonana, czy niektóre programy, których dotyczyły propozycje, byłyby zgodne ze mną

jako z Paulą. Za to na przykład w Twoja Twarz Brzmi Znajomo wiem, że odnalazłabym się świetnie. Mogłabym pokazać, że osoby z disco polo naprawdę potrafią śpiewać i mają talent. Natomiast programy oparte na konfliktach albo takie, w których miałabym udawać celebrytkę, która całe dni spędza na zabiegach kosmetycznych, zupełnie do mnie nie pasują.

Urszula Grabowska: Nawet gdyby dobrze za to płacili?

Paula Karpowicz-Zimecka: Szczerze? Wcale nie proponują aż takich pieniędzy. Ale nawet gdyby proponowali, to nie o to chodzi. Dla mnie ważniejszy jest wizerunek. Do programu takiego jak Twoja Twarz Brzmi Znajomo poszłabym nawet bardziej dla samej przygody niż dla pieniędzy. To byłoby dla mnie świetne doświadczenie. Czasami dziwię się dziewczynom, które decydują się na udział w niektórych programach. Gdyby coś było zgodne ze mną, na pewno bym to rozważyła.

Są też programy, które bardzo mi się podobają, na przykład Azja Express. Chętnie wzięłabym w czymś takim udział, ale niestety nie mogę ze względu na problemy z kręgosłupem. Bardzo chciałam wystąpić w Gogglebox. Przed telewizorem. Myślę, że odnalazłabym się tam znakomicie. Mam dość cięty język i sypałabym komentarzami jak z rękawa.

Urszula Grabowska: Czyli po prostu jeszcze nie ten moment?

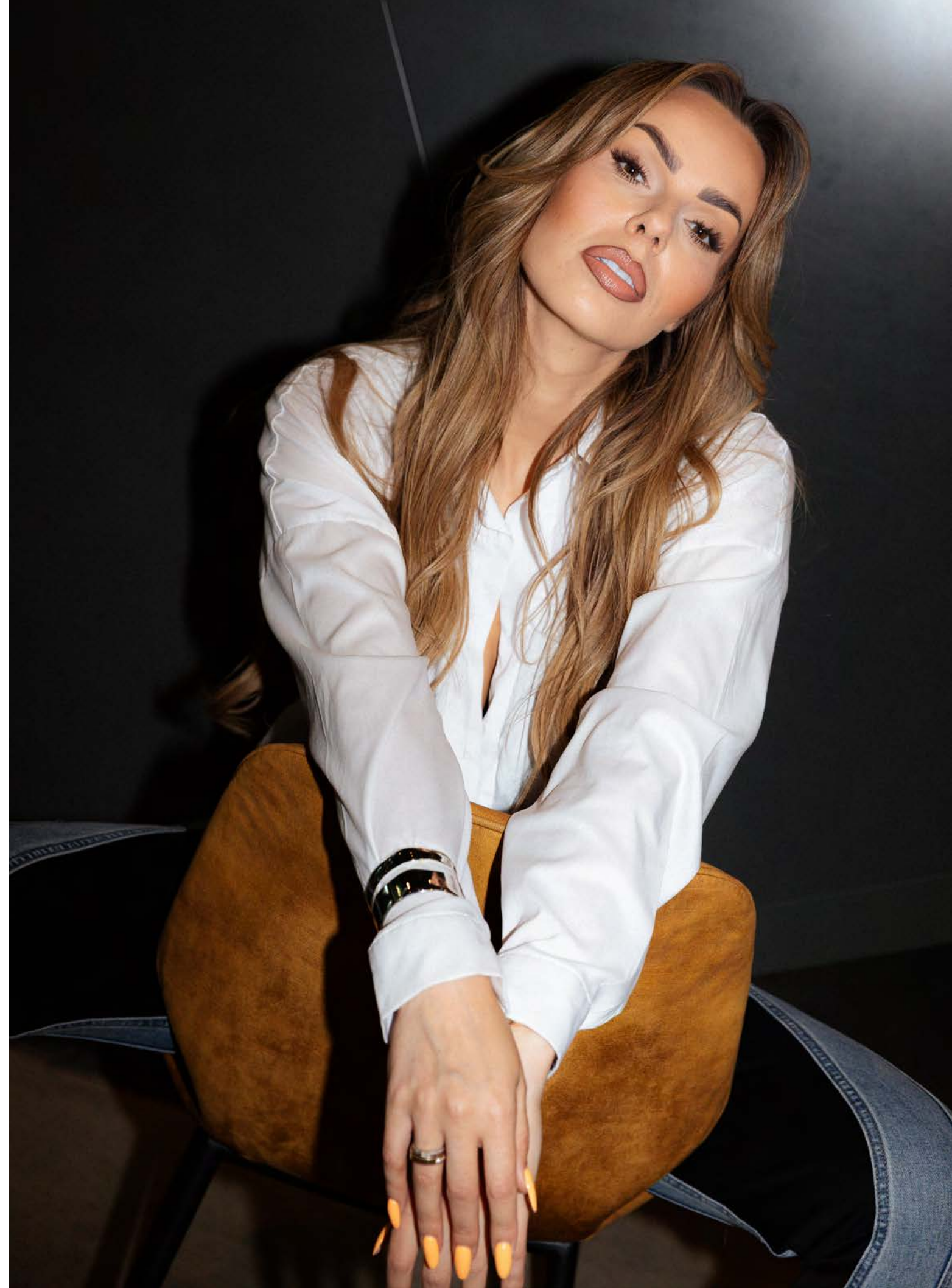
Paula Karpowicz-Zimecka: Tak. Afirmujemy Twoja Twarz Brzmi Znajomo. (śmiech)

Urszula Grabowska: Na koniec chciałabym cię zapytać o jedno zdanie. Gdybyś mogła zostawić naszym widzom tylko jedną myśl, z którą pójdą dalej, co by to było?

Paula Karpowicz-Zimecka: Robić swoje i nie oglądać się na innych. Nie zawsze warto słuchać nawet najbliższych. Oczywiście dobrze jest poznać ich zdanie, ale ostatecznie trzeba słuchać siebie i swojego serca. Sama wiele razy słyszałam rady od osób, które bardzo dobrze mi życzyły. Nie dlatego, że były zazdrosne, tylko dlatego, że patrzyły na wszystko ze swojej perspektywy. A nie były w mojej branży. Gdybym za każdym razem ich posłuchała, nie byłabym dziś w miejscu, w którym jestem. Nie wydarzyłoby się wiele dobrych rzeczy. Dlatego przede wszystkim trzeba wierzyć w siebie, ufać sobie i nigdy nie zwątpić we własny talent. Trzeba próbować do skutku. Naprawdę można osiągnąć swoje cele.

Urszula Grabowska: Czyli zawziętość?

Paula Karpowicz-Zimecka: Może nawet bardziej wiara w siebie i podążanie za tym, co podpowiada serce. Widzę, że to naprawdę procentuje – w muzyce, w pracy, w mediach. Myślę, że autentyczność naprawdę wygrywa. Dzięki niej jest mi dużo łatwiej. ■





CZY BIURO MOŻE STAĆ SIĘ WIZYTÓWKĄ FIRMY? JAK PRZESTRZEŃ WPŁYWA NA PIERWSZE WRAŻENIE KLIENTÓW I PARTNERÓW



TEKST MAT. PRAS. ZDJĘCIE MICHAŁ ORLIŃSKI

Pierwsze spotkanie biznesowe coraz rzadziej odbywa się wyłącznie przy stole konferencyjnym. To, jak wygląda biuro, gdzie się znajduje i jaka atmosfera panuje w jego przestrzeni, często mówi o firmie równie dużo, jak jej oferta czy strona internetowa. Biuro stało się jednym z elementów budujących wizerunek marki – zarówno w oczach klientów, jak i potencjalnych pracowników.

Współczesne firmy zwracają uwagę nie tylko na funkcjonalność przestrzeni, ale także na doświadczenie, jakie tworzy ona dla odwiedzających. Profesjonalna recepcja, dobrze zaprojektowane sale spotkań czy lokalizacja w rozpoznawalnym miejscu wpływają na sposób, w jaki postrzegana jest organizacja. Przestrzeń biurowa coraz częściej staje się przedłużeniem firmo-

wych wartości i kultury pracy.

To szczególnie istotne w przypadku firm, które stawiają na relacje biznesowe. Spotkanie z klientem w inspirującym otoczeniu może sprzyjać swobodnej rozmowie i budowaniu zaufania. Podobnie wygląda proces rekrutacji – kandydaci coraz częściej zwracają uwagę nie tylko na zakres obowiązków czy benefity, ale także na miejsce, w którym będą pracować.

Jak zauważa Zuzanna Gierkowska, Office Manager Puzzle Office, współcześni pracownicy i firmy oczekują dziś czegoś więcej niż dobrze wyposażonego biura. Liczą się atmosfera, komfort codziennej pracy oraz poczucie, że przestrzeń została zaprojektowana z myślą o ludziach. W Puzzle Office dbałość o doświad-

czenie użytkowników widać na wielu poziomach. Prywatne biura, 21 sal konferencyjnych, miejsca do pracy w ciszy, strefy relaksu czy trzy wspólne kuchnie pozwalają dopasować przestrzeń do różnych potrzeb zespołów. Istotne znaczenie ma również lokalizacja w Fabryce Norblina – jednym z najbardziej charakterystycznych punktów na mapie Warszawy, który łączy biznes, gastronomię, kulturę i wydarzenia.

Dziś biuro coraz częściej staje się miejscem, do którego zaprasza się klientów na spotkanie, organizuje warsztaty dla partnerów biznesowych czy prowadzi rozmowy rekrutacyjne. To właśnie dlatego wybór przestrzeni do pracy nie jest już wyłącznie decyzją operacyjną. Coraz częściej staje się także świadomym elementem budowania marki firmy.

Jedyne Takie Kino w Polsce



Sprawdź repertuar na
www.bilety.kinogram.pl

KINOGRAM

Kino KinoGram (piętro +2 nad FoodTown)
Ul. Żelazna 51/53
Warszawa

JAK WYBRAĆ BIURO RACHUNKOWE, KTÓRE BĘDZIE WSPIERAĆ ROZWÓJ FIRMY? 5 KLUCZOWYCH KRYTERIÓW



TEKST MAT. PRAS. ZDJĘCIA MICHAŁ ORLIŃSKI

Wybór biura rachunkowego to decyzja, która ma wpływ nie tylko na poprawność rozliczeń, ale również na bezpieczeństwo i rozwój przedsiębiorstwa. Współczesne firmy oczekują od księgowości znacznie więcej niż prowadzenia ewidencji i przygotowywania deklaracji. Liczy się dostęp do ekspertów, nowoczesnych technologii oraz wsparcia, które ułatwia podejmowanie decyzji biznesowych.

Pierwszym kryterium jest doświadczenie i specjalizacja. Dobre biuro rachunkowe powinno dysponować zespołem specjalistów z zakresu księgowości, podatków, kadr i płac. Dzięki temu przedsiębiorca zyskuje kompleksową obsługę oraz pewność, że jego firma funkcjonuje zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Równie ważna jest technologia. Praca w chmurze, elektroniczny obieg dokumentów czy automatyzacja procesów znacząco usprawniają współpracę i pozwalają na bieżący dostęp do danych finansowych. Nowoczesne rozwiązania skracają czas obsługi, ograniczają ryzyko błędów i zwiększają wygodę przedsiębiorcy. Istotnym elementem jest także bezpieczeństwo danych. Biuro rachunkowe powinno korzystać z systemów zapewniających odpowiednią ochronę dokumentacji oraz zgodność z obowiązującymi przepisami dotyczącymi przetwarzania danych. To gwarancja bezpieczeństwa informacji finansowych i kadrowych. Nie bez znaczenia pozostaje jakość komunikacji. Szybki kontakt, terminowe odpowiedzi i indywidualne podejście sprawiają, że biuro rachunkowe

staje się partnerem, który rozumie potrzeby przedsiębiorcy i wspiera go w codziennym prowadzeniu firmy. Well Group Accounting Services odpowiada na te oczekiwania, łącząc doświadczenie zespołu z nowoczesnymi rozwiązaniami technologicznymi. Praca w chmurze, elektroniczny obieg dokumentów, wyspecjalizowane zespoły oraz bieżące wsparcie doradcze pozwalają przedsiębiorcom skupić się na rozwoju biznesu, pozostawiając kwestie księgowe i kadrowe w rękach ekspertów. Wybierając biuro rachunkowe, warto patrzeć nie tylko na zakres podstawowych usług, ale również na możliwości rozwoju współpracy. Partner, który inwestuje w technologię, specjalizację i jakość obsługi, staje się realnym wsparciem w prowadzeniu i rozwijaniu firmy.

BYĆ JAK SZABLOZĘBNY Z POWER RANGERS | FORD RANGER TEST



TEKST I ZDJĘCIA MARCIN RANUSZKIEWICZ

Kto nie oglądał, jak był mały? Każdy wybierał sobie postać i chciał nim być, krzycząc na podwórkach: GO, GO Power Rangers. Ja byłem Żółtym, Szablozębnym! A teraz, biorąc na testy Żółtego Forda Rangera, powiedziałem sobie, że będę poruszał się na czterech łapach (4x4) oraz, jak przystało na tygrysa, będę szybki w szarży i pokonywaniu przestrzeni. Trochę infantylne – wiem, wiem, ale wojownicza nuta z bajki się pojawiła!

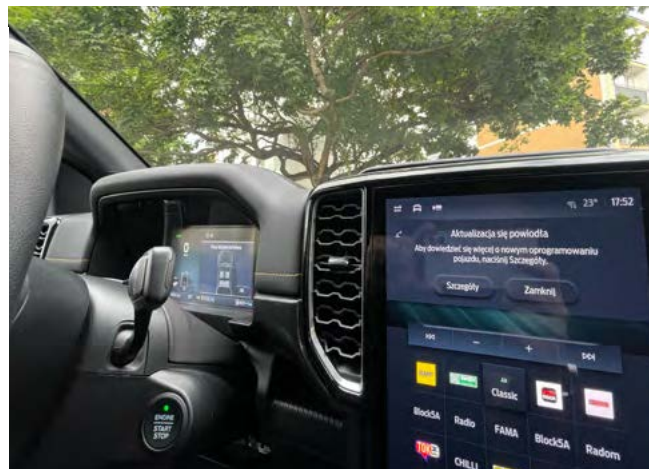
Wiadomo, zabrałem „Żółtego” na Mazury. Trochę pośmigaliśmy na S61, trochę pośmigaliśmy między Miłkami a Rydzewem, jadąc przez Wierciejki, a to trasa dla twardzieli, przy 70 km/h wyrzuca z pasa niczym spadające buraki z naczepy po zbiorach. A ja? A ja, Go, Go Power i byłem mistrzem susów na tej drodze, ha! To idealny 6-kilometrowy odcinek na test, nie trzeba przekraczać prędkości dopuszczalnej 90, a i tak przeciążenia odczuwalne jak w rakiecie Muska.

Żółty Ranger to dobry Ranger. Karany jest, reaguje na polecenia, ma dużo mocy i dużą pojemność. Szeroki rozstaw, 4x4, milion wskaźników i czujników i mnóstwo opcji napędów, co pozwala czuć się dość bezpiecznie. Prześwit między powierzchnią drogi a podłogą idealnie dostosowany do mazurskich chaszczy. Bawiłem się świetnie! Trzeba przyznać, że kabina, żywcem wzięta z Raptora, co ogromnie cieszy, zrobiona z pomysłem, wykończenia bez poczucia low cost'u. Ogromny centralny wyświetlacz, drugi za kierownicą – też ogromny, no i to seryjnie montowane nagłośnienie firmy Bang & Olufsen robi kolosalną robotę. Zestaw zagłuszy każdą pokonywaną nawierzchnię i nierówności, obawiam się, że gubiącego silnika też ucho nie wyłapie.

Dla biwakowiczów, campingowych wariatów, dla tych co na ryby, na grzyby – pamiętajcie, macie tam dwa gniazda 230 V – czyli lodówka, telewizor, mikser, Thermomix, piła kątowa, ekspres do kawy czy też opiekacz, blender lub

wiertarka ze szlifierką – wszystko podłączycie! A jak się zmęczycie i świeże powietrze Wam przyniesie sen, macie gdzie spać (wystarczy materac wrzucić na pakę), no chyba że użytkownik ma zapędy bycia królewiczem i niezbędna jest przyczepa, a to co innego! Nie rozczaruję Was, „Żółty” ma hak i nie zawaha się go użyć, ciągnąc przyczepę do 3,5 tony.

Mój „Żółty” to model hybrydowy. Łącznie prawie 300 koni. Szkoda, że bateria ma pojemność tylko na około 50 kilometrów. Do miasta by się przydała większa, bo miasto nie rozpieszczę nawet uśmiechami Zespołu Sprzedającego na stacji benzynowej. To nie jest auto do miasta. Nie chodzi o spalanie, może trochę o rozmiar, bo nie wszędzie uda się zaparkować. Chodzi o to, że prowadząc to auto, po prostu wiesz, że możesz więcej, a w mieście pojęcie słowa „więcej” w kontekście moto praktycznie nie istnieje. Zatem, wszyscy ci, lubiący przygodę, mogą znaleźć w tym modelu swojego odpowiednika Power Rangera.



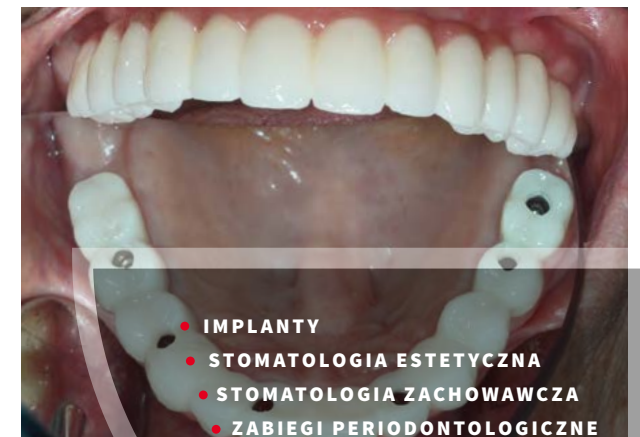
IMPLANTY KOMFORT ŻYCIA

PIĘKNY UŚMIECH TO COŚ WIĘCEJ NIŻ ŁADNY DODATEK. TO NASZA WIZYTÓWKA. NIE KAŻDY JEDNAK MOŻE POCHWALIĆ SIĘ PIĘKNYM UZĘBIENIEM. NA SZCZĘŚCIE NOWOCZESNA STOMATOLOGIA POZWALA ODMIENIĆ NIE TYLKO WYGLĄD, ALE JAKOŚĆ ŻYCIA. PROBLEMY Z JEDZENIEM, DYSKOMFORT ŻYCIA I PRZEDĘ WSZYSTKIM ESTETYKA PROWADZĄ DO ZAINTERESOWANIA IMPLANTACJĄ PRZEZ PACJENTÓW. ROZWIĄZANIE ZNAJDUJE LEKARZ STOMATOLOG DARIUSZ SROKOWSKI.

Jakie można zaproponować leczenie dla pacjentów pojedynczymi brakami lub całkowitym bezzębiem?

W przypadku braku jednego lub kilku zębów, do zakwalifikowania pacjenta do implantacji potrzebne jest prześwietlenie (najczęściej wystarcza punktowe). Wówczas ocenia się poziom kości i nierzadko następuje bezproblemowe wprowadzenie implantu. Nieco dłuższa procedura występuje w momencie gdy pacjent zgłasza się z całkowitym bezzębiem. Decyzja o podjęciu leczenia zapada dopiero po analizie danych uzyskanych w badaniu pantomograficznym, czyli dzięki prześwietleniu panoramicznemu. Nierzadko potrzeba zobrazowania trójwymiarowego, czyli wykonania tomografu. Propozycji leczenia może być kilka, w zależności od warunków w jamie ustnej pacjenta. Pełna rekonstrukcja jest możliwa na minimum 5 implantach, a maksymalnie na 8. Wówczas można umocować na stałe 12 zębów. O liczbie implantów decyduje jakość i ilość kości. Często po wszczepieniu następuje etap uzupełnień tymczasowych, aby pacjent mógł ocenić estetykę i wygodę przyszłych uzupełnień stałych.

Innym rozwiązaniem jest wykonanie na 2, 3 lub 4 implantach protez akrylowych mocowanych na zaczepach.



- IMPLANTY
- STOMATOLOGIA ESTETYCZNA
- STOMATOLOGIA ZACHOWAWCZA
- ZABIEGI PERIODONTOLICZNE
- CHIRURGIA STOMATOLOGICZNA
- PROTETYKA
- PROFILAKTYKA
- WYBIELANIE ZĘBÓW

Koszty, trwałość i przeciwwskazania. Pytania najczęściej zadawane przez pacjentów. Jaką odpowiedź mogą uzyskać?

Pojęcie kosztów jest odczuciem bardzo indywidualnym, choć zapewne cena jest dość duża. Warto jednak spojrzeć na to długofalowo. Efekt, długotrwałość uzębienia, wysoka jakość materiału, a także nienaruszenie sąsiednich zębów może okazać się bardzo przekonującą i wygrać z kosztami ponoszonymi jednorazowo na wiele lat.

Utrudnieniem przed omawianym zabiegiem bywa mała ilość masy kostnej. Obecne metody pozwalają jednak na zwiększenie jej objętości, a tym samym umożliwienie implantacji. Implanty przyjmują się raczej bezproblemowo. Wieloletnia praktyka wskazuje na minimalny procent powikłań lub odrzutu ciała obcego. W początkowym okresie gojenia objawy te łatwo skorygować.

Podsumowując, odbudowy protetyczne poprawiają warunki zgryzowe, co jest związane z lepszym trawieniem i unikaniem problemów układu pokarmowego, a zadowolający uśmiech podnosi pewność siebie.



DENTAL IMPLANT ACADEMY

DOKTOR DARIUSZ SROKOWSKI
UL. KSIĘDZA JAŁOWEGO 8/1
35-010 RZESZÓW
TEL/FAX 17 85 333 85
KOM. 602 34 20 46



any
where
FOR HER



Fot. envato

TEMATY

KTÓRYMI CHCEMY
SIĘ DZIELIĆ

BIRKIN TO NIE TYLKO TOREBKA I KOSZYK. RECENZJA KSIĄŻKI IT GIRL



WSPÓŁCZEŚNIE JANE BIRKIN KOJARZY SIĘ PRZED E WSZYSTKIM Z BYCIEM IKONĄ - Z ESTETYKĄ PÓŹNYCH LAT SZEŚCZDZIESIĄTYCH I POCZĄTKU SIEDZMDZIESIĄTYCH. Z WIKLINOWYM KOSZYKIEM NOSZONYM ZAMIĄST TOREBKI. GRZYWKĄ. BIAŁYM T-SHIRTEM LUB KRÓTKIMI SUKIENKAMI. TO NA JEJ CZEŚĆ POWSTAŁA JEDNA Z NAJSŁYNNIEJSZYCH TOREBEK ŚWIATA – BIRKIN BAG OD HERMÈSA. DZIŚ KOJARZY SIĘ PRZED E WSZYSTKIM Z PINTERESTOWYMI ZDJĘCIAMI Z OKRESU MŁODOŚCI. A ZNACZNIE MNIEJ OSÓB WIE. ŻE ZANIM STAŁA SIĘ IKONĄ STYLU. BYŁA AKTORKĄ. WOKALISTKĄ I AUTORKĄ TEKSTÓW.

TEKST ALICJA KUBÓW ZDJĘCIA MAT. PRAS.

C hoć urodziła się 14 grudnia 1946 roku w Londynie i była Angielką, z czasem stała się symbolem francuskiego stylu. Dla wielu jest wręcz uosobieniem paryskiego szyku – do tego stopnia, że łatwo zapomnieć o jej brytyjskim pochodzeniu. Ja sama od czasów studiów inspirowałam się jej stylem. Nosiłam wiklinowy koszyk, haftowane bluzki i dzwony, również noszę grzywkę, która na pewno jest pokłosiem moich kulturowych doświadczeń. Znałam jej piosenki i filmy, w których grała. Kiedy więc sięgnęłam po It Girl, miałam już w głowie pewien obraz Jane Birkin – zbudowany nie tylko przez fotografie znalezione w internecie. To tam najczęściej pojawia się zwrot „pamiętajcie, że przed Birkin Bag był jeszcze koszyk” – jako sprzeciw wobec kojarzenia

artystki tylko z torebką od luksusowej marki. Paradoksalnie to ta sama pułapka, w której żyła Birkin przez wiele lat zanim udało jej się zbudować siebie poza dzisiejszym określeniem „it girl”. Od tego punktu wychodzi również autorka książki. Marisa Meltzer – Amerykanka, od lat zafascynowana Paryżem i francuską kulturą, zaczyna od własnych doświadczeń i fascynacji Birkin. Ten osobisty wstęp początkowo sugeruje, że dostaniemy bardziej esej niż klasyczną biografię. Bardzo szybko okazuje się jednak, że to po prostu dobrze udokumentowana historia życia Jane, prowadzona chronologicznie i oparta na dużej liczbie źródeł. Jednocześnie nie jest to biografia skupiona wyłącznie na faktach. Autorkę interesuje przede wszystkim kobieta stojąca za wizerunkiem eterycznej i sek-

sownej zarazem. To ważne, bo dziś niewiele osób kojarzy dorobek artystyczny Birkin. W pamięci zostało kilka charakterystycznych kadrów z filmu Basen, w którym zagrała u boku Alaina Delona i Romy Schneider, oraz oczywiście piosenka Je t'aime... moi non plus. Tymczasem zagrała w kilkudziesięciu filmach, nagrała kilkanaście albumów i koncertowała niemal do końca życia. Nigdy nie była uznawana za wybitną aktorkę, a jej muzyczna kariera przez lata pozostawała w cieniu Serge'a Gainsbourga. Większą część życia kojarzona była z tym, że jest czyjąś partnerką czy muzą, nie samodzielną artystką. Nic więc dziwnego, że jednym z najważniejszych wątków książki pozostaje związek Birkin z Sergem Gainsbourgiem. Poznali

się w 1968 roku na planie filmu Slogan i przez ponad dekadę tworzyli jedną z najbardziej rozpoznawalnych par francuskiej kultury. To z tego okresu pochodzą zdjęcia, które dziś właściwie zdefiniowały estetykę Jane Birkin, i wspólna piosenka, która wywołała międzynarodowy skandal.

Meltzer nie buduje jednak kolejnej romantycznej legendy. Pokazuje związek pełen zazdrości, emocjonalnych huśtawek, alkoholu i wzajemnego uzależnienia. Gainsbourg był człowiekiem błyskotliwym i niezwykle utalentowanym, ale jednocześnie trudnym i przemocowym partnerem. Jane ostatecznie od niego odeszła, choć do końca jego życia pozostali sobie bliscy. Nadal wykonywała jego utwory podczas koncertów, pielęgnowała pamięć o jego twórczości i wielokrotnie podkreślała, jak ważną postacią był w jej życiu.

Nie był to zresztą jedyny związek opisany w książce. Wcześniej wyszła za mąż za kompozytora Johna Barry'ego, później związała się z Jacques'em Doillonem. Miała trzy córki – Kate Barry, Charlotte Gainsbourg i Lou Doillon. Z kolejnych rozdziałów wylania się pewien schemat relacji Birkin. Zakochiwała się bardzo szybko i intensywnie, równie mocno potrzebując bliskości. Jednocześnie wybierała partnerów skupionych przede wszystkim na własnej twórczości, często trudnych emocjonalnie. Sama wielokrotnie schodziła na drugi plan.

Książka ma przy tym bardzo anegdotyczny charakter. Obok najważniejszych wydarzeń pojawiają się dziesiątki drobnych historii, które pokazują Birkin od mniej oficjalnej strony. Jako matkę pozwalającą dzieciom uczestniczyć w swoim imprezowym życiu. Jako osobę impulsywną, zakochującą się bez pamięci,

ANGIELKA, KTÓRA STAŁA SIĘ FRANCUSKĄ IKONĄ



**Nie da się
zaplanować
bycia *it-girl*.
To musi być tytuł
nadany z góry,
przez innych.**

MARISA MELTZER

czasem naiwną. Jako kobietę obracającą się w świecie artystów, muzyków i aktorów, gdzie granica między pracą, zabawą i autodestrukcją często się zacierała.

Najmocniej wybrzmiewa to w dziennikach, na których w dużej mierze opiera się książka. Birkin prowadziła je niemal przez całe życie. Pisała o pracy, macierzyństwie, zakochaniach, własnym wyglądzie, lękach, ale też o rzeczach zupełnie błahych. Dzięki nim trudno traktować ją wyłącznie jako ikonę stylu. To zapiski osoby autoironicznej, która miała do siebie ogromny dystans. Kiedy ktoś ją krytykował, często sama dopowiadała jeszcze kilka złośliwych uwag pod własnym adresem. Potrafiła być bardzo zabawna, ale niemal przez cały czas między wierszami przebija smutek, a momentami niskie poczucie własnej wartości.

Meltzer wraca do dzieciństwa Birkin i jej rodzinnych relacji, ale nie szuka jednej traumy, która miałaby wszystko wyjaśniać. Nie dostajemy psychologicznych odpowiedzi ani gotowej diagnozy. Zostaje raczej obraz kobiety, która przez całe życie próbuje określić siebie – zarówno jako kobietę, jak i artystkę – oraz zrozumieć, czego właściwie potrzebuje.

Jednocześnie w książce mamy obraz osoby dość melancholijnej, samotnej. Ta melancholia z czasem tylko się pogłębia. W swoich dziennikach Birkin pisała na przykład, że chciałaby nie żyć. Te zapiski pojawiają się na długo przed największymi tragediami, które ją spotkały. Umiera Serge Gainsbourg, z którym mimo rozstania do końca pozostawali sobie bardzo bliscy. Niedługo później odchodzi także jej ojciec. W 1998

roku Birkin dowiaduje się o białaczkę. Choroba nie zatrzymuje jej od razu – jeszcze przez ponad dwie dekady koncertuje, nagrywa i pracuje. Największym ciosem okazuje się jednak śmierć najstarszej córki, Kate Barry.

Po lekturze dużo wyraźniej widać, jak bardzo współczesny obraz Jane Birkin został uproszczony. W pamięci zbiorowej została dziewczyna z grzywką, wiklinowym koszykiem i białym T-shirtem. Tymczasem z kart tej książki wylania się osoba znacznie bardziej skomplikowana – wesoła i smutna zarazem, niezwykle wrażliwa, poszukująca siebie, spragniona miłości. Starająca się zrzucić wizerunek „muzy”. It Girl nie próbuje odbierać Jane Birkin statusu ikony ani na siłę jej odbrązawiać. Nie przekonuje, że nie była ikoną stylu. Pokazuje jednak, że był to zaledwie jeden z wielu wymiarów jej życia.

[SPRAWDŹ!](#)



NAJNOWSZA
POWIEŚĆ

M

MAŁGORZATY
DOMAGALIK



MARA

KUP ONLINE
WWW.DZIENNIKMARY.PL

WSZYSTKIE
TWARZE
BOGINI

MANDO

MARILYN
MONROE

KATARZYNA CZAJKA-
KOMINIARCZUK

AUTORKA BLOGA
ZWIERZ POPKULTURALNY